

adeste⁺

Pragnę, szukam, wierzę

NR 01 | PAŹDZIERNIK 2017



KOŚCIÓŁ PO 500 LATACH OD REFORMACJI

www.adeste.eu

Adres do korespondencji:

Łagiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Redaktor Naczelny:

Bartłomiej Jan Wojnarowski

Redaguje zespół w składzie:

Kamil Przemysław Mańka (z-ca redaktora naczelnego ds. redakcji i jakości)

Anna Małgorzata Gawlik (z-ca redaktora naczelnego ds. organizacji i zarządzania)

Piotr Władysław Sudoł (sekretarz redakcji)

Michał Gójski, Jakub Konrad Lesner, Tomasz Leszczyński, Konrad Myszkowski, Piotr Ulrich, Konrad Żelechowski

Współpracownicy:

Martyna Jerks, Dk. Mateusz Kopa, Marcin Kozłowski, Michał Marcin Lewandowicz-Bucholc, Katarzyna Bigaj, Ks. Dawid Sebastian Tyborski., Bartłomiej Zglinicki

Grafika i skład gazety: Tomasz Łukasik - it@adeste.eu

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub: Maciej

Andrzej Laskowski - maciej.laskowski@adeste.eu

Webmaster strony www.adeste.eu: Tomasz

Leszczyński - it@adeste.eu

Rysownik i art-designer: Marcin Kozłowski

Media consulting: Mateusz Nieścierowicz

Dział korekty:

Anna Gawlik, Anna Przybysz, Zuzanna Sokalska, Magdalena Węglarz.

Dział rozwoju i promocji:

Tomasz Łukasik, Marcin Kozłowski

Przemysław Kucharek, Tomasz Kumiega

Piotr Władysław Sudoł, Honorata Szczęsna -

promocja@adeste.eu, Bartłomiej Wojnarowski

A także każdy, kto modliwq, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.

+AMDGI+

Wydawca: Bartłomiej Wojnarowski, Łagiguz 73, 22-400 Zamość, Lubelskie

Spis treści

FELIETON WSTĘPNY

- Wiara skrojona na miarę, czyli spór
o coś więcej niż częstochowskie
uwielbienie
Bartłomiej Wojnarowski 3

TEMATY NUMERU

- Angielscy męczennicy poreformacyj-
ni
ks.Dawid Tyborski 5

- Jak zostać protestantem
Kamil Mańka 8

- Przepis na soloną skrypturę, czyli jak
doszło do Reformacji
dk.Mateusz Kopa 14

- Leon X - bierny świadek reformacji
Ireneusz Mercati 17

- Pismo Święte, nauka, Sola Scriptu-
ra - Rola Pisma Świętego i jak go nie
czytać
Konrad Żelechowski 23

- Reforma Kościoła, a rozbięcie jedności
- rozważania w oparciu o fragmenty
Pisma Świętego.
Michał Gójski 29

- Reformacja Lutra, a Eucharystia i Msza
Święta
Kamil Pindel 32

- Od braku pokory do puszkii Pandory
Konrad Myszkowski 35

- Zrozumieć siebie nawzajem.
Działania ekumeniczne pomiędzy
katolikami i protestantami w czasach
współczesnych
Katarzyna Bigaj 40

FELIETON

- 500 lat reformacji - okazja do święto-
wania czy zadumy?
Piotr Władysław Sudot 42

Z INNEJ BECZKI

- Czy Allah to Bóg chrześcijan?
Michał Lewandowicz-Bucholc 46

- Różaniec - broń przeciw diabłu
Piotr Ulrich 49

- Muzyka - czy i dlaczego warto łączyć
ją z religią?
Tomasz Leszczyński 51

Słowo wstępne Redaktora Naczelnego



**„Ojciec Święty, zachowaj ich w Twoim imieniu, które Mi dałeś, aby
tak jak My stanowili jedno”. (J 17, 11b)**

To już 500 lat. Pięć wieków rozłamu, pięć wieków bólu i niezrozumienia, pięć wieków sytuacji w których ludzie ochrzczeni w wodzie zanurzają nas w śmierci i passze Pana stoją nie obok, ale gdzieś w oddali. Już 31 października 2017 roku minie okrągła rocznica ogłoszenia też augustiańskiego zakonika - Marcina Lutra. Reformacja stała się wydarzeniem bezprecedensowym, które odmieniło nie tylko mapę religijną Europy i świata, ale przewróciło porządek polityczny, zmieniło stosunki gospodarcze i system społeczny. Było wydarzeniem tak znaczącym, że w wielu kwestiach mówimy o świecie przed i poreformacyjnym.

W pierwszym numerze miesięcznika *Adeste* pochylimy się nad tym wydarzeniem, jego konsekwencjami i genezą. Spojrzymy na Kościół A.D. 2017. Jest silniejszy czy słabszy niż w 1517? Zastanowimy się, czy obchody 500-lecia Reformacji powinny być okazją do świętowania, czy jednak pokuty i zadumy. Będzie to podróż bolesna, w której nie bez winy w niektórych sferach był Kościół katolicki, ale i pełna nadziei, bo wyznaczająca ten sam cel, jakim jest sam Jezus Chrystus.

W naszym miesięczniku znajdziecie też artykuły dotyczące społeczeństwa, kultury i wiary. Przeczytacie między innymi o tym, czy chrześcijaństwo i islam wierzą w tego samego Boga oraz o głębszym podłożu ostatniego sporu o uwielbienie w Częstochowie.

Głęboko wierzę, że nowy projekt będzie początkiem przygody, której głównym prowadzącym jest Pan.

Z modlitwą +
Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika „Adeste”





źródło: fb.com/@SalezjańskaPiełgrzymkaEwangelizacyjna

Wiara skrojona na miarę, czyli spór o coś więcej niż częstochowskie uwielbienie



Bartłomiej Wojnarowski

A więc wojna... A może to jednak tylko internetowy spór, który wybuchł i eskaluje po słynnym filmiku ojca Remigiusza Reclawa? Może problem leży gdzieś indziej, głębiej? Setki reakcji na nagranie z Częstochowy i wspomniany filmik pokazują, że katolicy nie tyle rządzą Internetem, co Internet zaczyna kontrolować ich reakcje, także jeśli chodzi o postrzeganie wiary. To będzie bolesna i sarkastyczna opowieść o tym, jak potrafimy niszczyć się i ośmieszać przed ludźmi słabej wiary w imię jedynej, świętej „racji”.

Spór wskazuje na pewien problem globalny – często środowiska wyrażające swoje miejsce w Kościele stawiają go na podstawie swoich doświadczeń, prywatnych przeżyć i wychowania, a nie szerszego spojrzenia. I nie możemy ukrywać, że dla wielu młodych ludzi Msza wg Mszału Jana XXIII jest pewnym rodzajem duchowego

i życiowego manifestu, w którym się pochłonęli, nie zawsze z głęboką refleksją. W świecie, w którym brak twardych odpowiedzi, ta forma rytu dla wielu zdaje się rodzajem rebelii, a nie przemodlanej, przemyślanej decyzji. W ten sposób odzywa się w duszach wielu ludzi tęsknota za czymś wielkim, ale ten zryw podświadomie podbity jest przez

zewnątrzny zachwyt rytuałami i gestami lub wręcz poczuciem, że ten „posoborowy” (ile razy ja słyszałem to określenie) ma jakiś problem i właśnie ta forma rytu jest idealnym remedium i ratunkiem na wszystko. Na drugim końcu dokładnie tej samej linii stoi wąska grupa ludzi, którzy sami określiliby się jako charyzmatycy, których działalność

spotyka się raz to z zachwytem, to oporem ludzi w Internecie. To oni – wznoszący ręce w egzaltacji, deklarujący na Facebooku, że Jezus rządzi ich życiem, emocjonalnie podchodzący do Liturgii. To często rówieśnicy ludzi związanych z pierwszą grupą, co dodaje jeszcze kolorytu całemu sporowi. Swoją wiarę lubią okazywać bardzo mocno, żywiołowo, szukając wręcz emocjonalnej, dotykanej relacji z Bogiem.

Poznać wiarę, poznać bliźniego

Choć dwie grupy łączy dość sporo, to z mojej obserwacji wynika, że odmiennie reagują na krytykę. Młodzi związani z Tradycją w swoim postrzeganiu często posługują się wyrażeniami „kryzysu”. Według nich w kryzysie jest większość Kościoła, oczywiście od tego nieszczęsnego Soboru w '62, w kryzysie są powołania, w kryzysie wreszcie są rodziny pochłonięte modernizmem. Jedynie oni – związani z tą jedną z kilkunastu form sprawowania Ofiary – jawią się dla siebie jako oazy ortodoksji i stabilnej wiary. Wielu dyskutantów z którymi miałem szansę porozmawiać o Tradycji i NFRR było młodymi ludźmi. Po pierwszym wrażeniu osób niezachwianych w wierze, zaczytujących się w Tomasz z Akwinu i używających słowa „modernizm” częściej niż Tomasz Hajto słowa „no pobaw się piłką”, wyłania się ciekawa kwestia: ten nimb kadzidła, niezwykłość, tajemniczość gestów połączona z twardym nauczaniem wielu teologów ery pre-Vaticanum daje im złudzenie, że mają bilet na brak wątpliwości i rozterek. Na wszystkie dylematy teologiczne jest oczywiście Summa, a ten „rozmyty” Katechizm Jana Pawła II lepiej zastąpić przez Katechizm kard. Gaspariego.

Na drugim końcu tej samej prostej leżą młodzi z charyzmatycznych wspólnot. Wielu z nich poszukuje w często rozdmuchanym dynamizmie uciszenia własnych problemów, „bracia i siostry” ze wspólnoty stają się



blіsi niż niektórzy członkowie rodziny, a jak sami o sobie mówią „odnowieni przez Ducha” cenią sobie bardziej ducha prawa niż martwą literę, chociaż sami nie do końca wiedzą, co to wyrażenie może oznaczać. Podobnie też reagują na krytykę – żywiołowo i emocjonalnie – tak samo jak przeżywają swoją wiarę.

Mechanizm wyparcia i katolickie stereotypy

Te dwie grupy tak mocno walczące ze sobą, oczywiście – a jakżeby inaczej – upominające się w wierzę, a rzeczywistość okładające się bolesnymi stereotypami, prowokacjami podszytymi sarkazmem, mają jedną wspólną cechę: przecenianie swoich form pobożnościowych. Myślę, że więcej dobrego niż jałowe prowokacje dałoby wspólne poznanie siebie nawzajem, zrozumienie „dlaczego tak”, poznanie swoich braków, ale i zalet – w obliczu drugiej osoby. Zastanawiam

się, jak dużo dobra przyniosłoby pójście na Mszę wg Mszału św. Jana XXIII przez grupę charyzmatyków na co dzień kochających żywiołowe uwielbienia. Podobnie jak mocno otwarłaby oczy wizyta zwolenników jedynego słusznego wg nich rytu na spotkaniu wspólnotowym. Doszłoby do szoku. Do zaskoczenia. Opadłyby maski. Okazałoby się wtedy, że ten internetowy hejt, żenujące śledztwa i prowokacje robione są przez wąskie grupki ludzi. Że nie musimy ze sobą walczyć. Że mamy się bić „O” zbawienie innych, a nie „Z” innymi w sporze. Wtedy okazałoby się, że to tylko śmieszne wojenki.

Bo Kościół jest piękny. Jest w oddechu Mszy, która zachwyca łaciną i głębią, ale i w szczerym uwielbieniu ludzi. I nie, nie sugeruje tutaj, że wszystko jest w pełnym porządku. Kontrowersyjna próba uwielbienia, która wyglądała jak dyskotekowy happening nie powinna się zda-

ryć w miejscu, w którym ludzie szukają ciszy, rozmyślają i spotykają się z Matką. Ale sytuacji nie poprawią też internetowe akcje, tworzenie stereotypów i podziałów, bo Kościół spotyka się tam, gdzie jest jedność i nadzieja.

Wyjść z twierdzy uprzedzeń

Być może ktoś musi przełamać tę barierę. Może zwolennik Tradycji „zaryzykuje” i uściśnie dłoń swojemu rówieśnikowi z charyzmatycznej grupy. Albo charyzmatyk porozmawia z tradycjonalistą, nie podszywając rozmowy legendarnymi wyrażeniami jak „faryzeusz” i „Kościół już dawno poszedł do przodu i dobrze”.

Zbyt wiele w nas atakowania nie tyle bliźniego, co jego obrazu. Obie strony tego konfliktu tak naprawdę się nie znają. Znają się jedynie z internetowych memów, zaciekłych dyskusji i wiecznego narzekania jednych na drugich. A, zapomniałbym. I tego, że każdy przedstawiciel strony tego sporu uważa, że to on ma jedyną słuszną rację. Sytuacja pokazuje jeszcze jeden ważny aspekt: bycie w grupie parafialnej czy wspólnocie nie może tworzyć poczucia wyższości i elitarności. Ani grupy tradycji katolickiej, ani miejsca charyzmatycznych spotkań wspólnot katolickich nie mogą być klubami wzajemnej adoracji. Bo od tego bardzo łatwo do alienacji i poczucia, że moje miejsce mi wystarczy – nie muszę otwierać duchowych okien, patrzeć dalej, przecież wystarczy tu, gdzie jestem.

Iliberalne frakcje charyzmatyczne, jak i część młodych tradycjonalistów, pozostaje na granicy własnej emocjonalności i wąskiego świata. Życie wielokrotnie pokazało mi, że wiele wojenek w Internecie i poza nim jest tak zaciekła, ponieważ walczący de facto biją się z własnymi kompleksami. I teraz napiszę coś, czym narażę się obydwu grupom, ale w mojej ocenie, dopóki i zwolennicy o. Reclawa i młodzi tradycjoniści nie zrozumieją

pewnych mechanizmów, dopóty ta „wojenka” będzie trwać w najlepsze. I dlatego będzie tak zaogniona, bo oba fronty mieniły się w swoich oczach jako te „boże”, „właściwe” a prze-

co o ruchach charyzmatycznych w Kościele i zrozumie, że nie każdy wzięty z „Toronto Blessing”, a mnóstwo z charyzmatyków ma rozwiniętą pobożność maryjną i wcale nie upada na posadzkę



ciwnik jest tym, którego trzeba nawrócić na właściwą drogę.

Rozdroża ewangelizacji

Tak właściwie ten felieton nie będzie miał zakończenia. Bo tak naprawdę nie może. Niestety spór, pod innymi postaciami, będzie się wyłaniał jeszcze niejednokrotnie. Nie znaczy to, że historia nie może mieć happy endu. W jej pozytywnym zakończeniu Remigiusz Reclaw przejrzy biografię Marcela Lefebvre’a i zauważy, że nie był to wywrotowiec ani „kościelny terrorysta”, którego pamięć i zwolenników trzeba usuwać z Internetu, ale pasterz burzliwego okresu zatroskany o Kościół. Być może część tradycjonalistów przeczyta co nie-

pod byle pretekstem. Być może runie mur uprzedzeń zbudowany na stereotypach, niechęci i niepotrzebnej wojence, w której zapomniano o tym, że tę feralną młodzież od zbyt żywiołowego uwielbienia w Częstochowie trzeba przede wszystkim ewangelizować, a nie stygmatyzować pod falą komentarzy na Facebooku. Być może coś się zmieni. Jestem naiwny? Nie wiem. Ale wierzę, że Duch jest silniejszy od naszego ego. Nawet niezwykle silnego.

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

bartlomiej.wojnarowski@adeste.eu



Angielscy męczennicy poreformacyjni



ks. Dawid Tyborski

Znajomość historii Kościoła angielskiego jest znikoma albo bardzo ogólna, a kończy się na Henryku VIII i jego niesnaskach z papieżem. Jednak to właśnie Kościół angielski jest bardzo podobny do Kościoła polskiego. Łączą nas męczennicy, którzy oddali swoje życie za wierność Kościołowi katolickiemu. Polskimi sztandarowymi przykładami są: św. Andrzej Bobola, św. Józefat Kuncewicz, św. Melchior Grodziecki czy błogosławieni Męczennicy z Pratulina. Ofiara ich życia pojawia się na tle wydarzeń historycznych, przepychanek politycznych oraz walki o władzę. Bardzo podobnie mieli angielscy męczennicy za czasów Henryka VIII i później.

Jest jedno miejsce niedaleko Londynu, które powinno być sanktuarium narodowym, miejscem pielgrzymek i Ziemią świętą. Święte miejsce na zbiegu ulic Edgware Rd. i Bayswater Rd. Zamiast tego na chodniku znajduje się okrągła tabliczka z napisem: „the site of tyburn tree” – miejsce tyburnskiego drzewa. Nazwa może i z początku nic nie mówi, ale podaje analogię do drzewa, które z definicji jest żyjące. I po

części jest to prawda. Na tym drzewie rodziło się życie wieczne tysięcy katolików. Najprościej ujmując, „tyburn tree” to trójkątna szubienica, na której wieszano skazańców, a która stała się bramą do nieba dla tysięcy katolików, świeckich i duchownych, którzy pozostali wierni Kościołowi katolickiemu. Pamięć o tym miejscu pielęgnują siostry benedyktyńki, które niedaleko mają swój konwent. One to przecho-

wują resztki tyburnskiego drzewa oraz relikwie Męczenników z Tyburn.

Escalacja konfliktu oraz początek regularnych mordów na katolikach ma swoje ukorzenie w Ustawie o zdradzie stanu oraz akcie supremacji z 1534 roku. Wtedy miejsce kaźni wrogów korony stało się miejscem męczeństwa. Wtedy właśnie szubienica przybrała kształt trójkąta, bo kaci

nie wyrabiali z wieszaniem katolików. Tam też zginęli: św. Oliver Plunkett, św. Edmund Campion, św. Jan Houghton, który zginął – wraz ze współbraćmi – jako jeden z pierwszych na nowej szubienicy. Chciałbym się jednak pochylić nad kilkoma męczennikami, nie tylko z Tyburn.

Święty polityk

Wytrawny polityk, pisarz, erudyta, filantrop, poeta, członek III zakonu św. Franciszka, człowiek renesansu, znawca filozofii i literatury, Lord Kanclerz, przyjaciel króla, dobry mąż i ojciec... ogółem ikona angielskiej prosperity. Wydawało się, że to historia skazana na sukces. Mowa o nikim innym jak o św. Tomaszu Morusie. Ten urodzony w 1478 roku angielski męczennik pochodził z mieszczańskiej rodziny i nic nie zapowiadało jego zawrotnej kariery. Za namową ojca zaczął studiować prawo. Podczas studiów mieszkał w klasztorze kartuzów. Niedługo po studiach zawarł związek małżeński z Jane Colt. Związek ten trwał krótko, bowiem Tomasz szybko owdowił. Drugą jego żoną była Alicja Middleton. Już w wieku 26 lat został posłem do parlamentu, a jego sława obijała się coraz szerszym echem po angielskiej ziemi. Kiedy popadł w niełaskę u Henryka VIII, postanowił udać się w podróż po Europie. Odwiedzał Uniwersytety, znanych pisarzy i filozofów, dał się poznać jako człowiek wybitnie inteligentny, wykształcony, wrażliwy, jako sztandarowy przedstawiciel swojej epoki.

Wkrótkim czasie po śmierci ojca, Henryk VIII wezwał go na dwór jako swojego doradcę i obdarzył go tytułem szlacheckim. Ich przyjaźń miała też wpływ na wiarę króla. Wpływ ten był tak mocny, że podczas walki z protestantyzmem król napisał pamflet pt. Obrona siedmiu sakramentów. Przyjaciół poróżniły jednak sprawy dziedziczenia. Od dłuższego czasu Henryk VIII zabiegał o stwierdzenie nieważ-

ności swojego ślubu z Katarzyną Aragońską. Kardynał Tomasz Wolsey zakończył walkę o „rozwód” fiaszkem, przez co został wyrzucony z funkcji kanclerskiej. Na jego miejsce król wyznął zaś swojego przyjaciela – Tomasza Morusa. Henryk VIII, wściekły ciągłymi odmowami Klemensa VIII, ogłosił się głową Kościoła Anglii. Przerażony Morus rzekł się tytułu kanclerza, zapewniając o swojej przyjaźni

sprawom bożym. Był on także spowiednikiem królowej i wychowawcą Henryka VIII, który to czuł wielki respekt do swojego nauczyciela. Podobnie jak w sprawie Morusa, kością niezgody została sprawa rozwodowa Henryka. Biskup Jan, jako człowiek głębokiej wiary i dbałości o ortodoksję, pomimo błagań i prób przekupstwa ze strony Henryka, nie ugiął się i potępiał dążenia swojego ucznia. Również i biskup



wobec króla. Wszystko poszło by w miarę spokojnie, gdyby nie ustawa o sukcesji. Lord Tomasz nie chciał uznać za prawowitych dziedziców dzieci z nieprawego łoża Henryka. Ciągłe uważał, że prawdziwą żoną jest Katarzyna i podpisanie aktu oznaczałoby zdradę nie tylko Katarzyny, ale wiary w instytucje sakramentu małżeństwa, dlatego Tomasz czuł się wewnętrznie zmuszony do odrzucenia tego aktu. Dalsza historia nie mogła być inna – został uwięziony w Tower jako wróg i zdrajca Anglii. W więzieniu pisał komentarz do Męki Pańskiej, którego nie ukończył. Został zamordowany w Tower. Jego ostatnimi słowami są: „Umieram jako dobry sługa króla, ale przede wszystkim sługa Boga”.

Bohaterski biskup

Drugą postacią sporu o supremację jest św. Jan Fisher, biskup Rochesteru, kardynał, człowiek wykształcony i oddany

Jan trafił do Tower. Na początku z myślą, że ciężkie więzienie zmiekczy wolę starego człowieka. Ku rozpaczy Henryka, św. Jan był nieugięty. O sprawie biskupa i jego uwięzieniu dowiedział się papież Paweł III, który za zasługi postawił mu kapelusz kardynalski, wierząc, że Henryk nie podniesie ręki na kardynała. Rozwścieczyło to jednak Henryka, który nakazał ściąć biskupa Jana. Na pół godziny przed śmiercią czytał on Nowy Testament. Kiedy zamykał Pismo Święte, powiedział: „Wystarczy tej nauki, aby wytrzymać przez resztę mego życia”. Zginął miesiąc po swojej nominacji kardynalskiej, 22 czerwca 1535 roku.

Spółeczeństwo w rozdarciu

Dla katolickiej części społeczeństwa dramatyczna sytuacja wciąż trwała. Podejmowano pokojowe kroki, takie jak: dyskursy akademickie, dyplomację, modlitwy za ojczyznę. Prosty lud

postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Najstynnniejszą z podejmowanych oddolnie interwencji jest tzw. Pielgrzymka łaski. Ludność chłopska powstawała i ruszała na Londyn, aby przekonać króla, że płądrowanie klasztorów i mordowanie księży jest dla nich zbrodnią, bowiem to właśnie zakony podejmowały się opieki duchowej, społecznej i materialnej nad życiem prostych ludzi i stanowiły dla nich oparcie. W kulminacyjnym momencie było 40 tysięcy pielgrzymów. Cała północna Anglia była podburzona i konflikt północny się zaostrzał. Godłem i sztandarem było „Arma Christi”, czyli rany Chrystusa. Stąd też wywodzi się powiedzenie „na rany Chrystusa!”. Przynieśli je do polski – jako akt strzelisty – jezuici. Katolikom w Anglii nie pozostało nic innego jak zejść do podziemia.

Święta konwertytka

Małgorzata Clitherow urodziła się ok. 1556 roku w prostej rodzinie wytwórcy świec. Jako piętnastoletnia panna wyszła za mąż za rzeźnika Jana Clitherowa. Została wychowana jako anglikanka, jednak w 1574 roku nawróciła się na wiarę katolicką. Głęboka wiary Małgorzaty nawróciła też jej syna, Henryka, który wyjechał do Francji, aby zostać kapłanem. Jej dom w Yorku był prawdziwym domus ecclesiae. Małgorzata ukrywała kapłanów, dawała im jeść, organizowała tajne duszpasterstwo, ściągала ludzi na Mszę Świętą w swoim domu i tych, którzy chcieli korzystać ze sakramentów. Wraz z mężem przygotowała dom na ewentualne łapanie czy polowania na księży, wyposażając się w podwójne ściany, otwory i skrytki na paramenta liturgiczne. W 1586 roku wieść o tym, że Małgorzata ukrywa księży, dotarła do władz. Została ona aresztowana i w obronie swoich dzieci odmówiła sobie prawa do obrony. Została skazana na wyjątkowo okrutną śmierć przez zmiażdżenie wrotami. Pod Małgorzatą położono kamień, który miał łamać jej kości i bo-

leśnie ją kaleczyć, a na wrotach kładziono coraz większe ciężary. Umierała 15 minut. Została zamęczona w Wielki Piątek 1586 roku. Do dzisiaj jej dom jest sanktuarium. Została kanonizowana przez bł. Pawła VI.

Jezuicki bohater wiary

W1540 roku w Londynie rodzi się Edmund Campion. Wprost pośrodku morderczej burzy dziejowej, która niszczyła wszystko, co katolickie. Wychowany jako anglikanin i wierny anglikańskiej wykładni wiary wzrasta i kształtuje się. Zdobywa tytuł magistra w Oxfordzie i przyjmuje najniższe święcenia w Kościele anglikańskim. Widok tysięcy męczenników oraz lektura Ojców Kościoła nie daje mu spokoju i postanawia uciec z Anglii. Już we Francji Edmund staje się cennym profesorem i wykładowcą. Kiedy przebywał w Rzymie wstąpił do jezuitów, gdzie nadal rozwijał swoje pasje naukowe. Zakon wysłał go do Czech, a jego dzieła tłumaczył ks. Piotr Skarga. Papież Grzegorz XIII prosi go jednak o podjęcie się misji w ojczyźnie. W Anglii zastąpił jako pisarz i twórca dramatów i dzieł apologetycznych. Cały czas żył w ukryciu i często zmieniał miejsca zamieszkania. Ofiarnie niósł postugę duszpasterską, ryzykując życie. W 1581 roku na skutek zdrady został pojmany i skazany na tortury. Stał się on jednym z męczenników Tyburn Tree. Jego heroiczna postawa, modlitwa, przebaczenie i poddanie się woli Bożej pod szubienicą wzbudziło głośny podziw. Skazany na powieszenie, otwarcie wewnętrzności i poćwiartowanie jezuita, swoją postawą nawraca podczas egzekucji kilka tysięcy ludzi. Ginie 1 grudnia 1581 roku.

Mężny kapłan i opiekun ubogich

Sto lat później sytuacja wyglądała rozpaczliwie podobnie. Przekonał się o tym św. Dawid Lewis. Pochodził on z walijskiej, mieszanej religijnie rodziny.

Podczas studiów wyjechał na kontynent, gdzie przyjął wiarę katolicką. W tym czasie w Walii wybucha epidemia, która zabiera rodziców Dawida. Jego wujek, który był jezuitą, namawia go na podróż do Rzymu. Wstąpił do Towarzystwa Jezusowego i w 1642 roku przyjmuje w Rzymie święcenia kapłańskie. Jego marzeniem było głoszenie Chrystusa na ojczyźnie, dlatego wraca do Anglii pod pseudonimem Karol Baker. Natychmiast po powrocie podejmuje postugę duszpasterską, ewangelizuje, pomaga biednym, organizuje swoją wspólnotę zakonną. Na skutek donosów i zdrady przez apostatów ks. Lewis zostaje aresztowany. Sytuację pogarsza fakt, że natłogowy oszczerca i kłamca Tytus Oates, wmawia królowi, że jezuici czyhają na jego życie. Listopad 1678 roku był czasem szczególnie nasilonych łapanek księży. Po rocznym przebywaniu w więzieniu i torturach, w sierpniu 1679 roku, o. Dawid Lewis SJ zostaje powieszony i poćwiartowany. Za życia zdobył sobie przydomek ojca ubogich. Wchodząc na miejsce kaźni powtarzał: „Słodki Jezu, przyjmij moją duszę”.

Gwiazdy w ciemności

Czasy ciemności i zła nie były przeszkodą w osiągnięciu świętości. Dzięki ofiarnym przykładom świętych męczenników tysiące ludzi nawróciło się i trwało wiernie w Kościele katolickim. Do XX wieku katolicyzm w Anglii był symbolem wstydu, obciachu, biedy, symbolem ludzi drugiej kategorii. Konwersje były na salach gorszące lub wyśmiewane. Prawda i miłość nie dały się jednak zagłuszyć przez żądze króla czy polityczne niesnaski. Angielscy świadkowie prawdy do dzisiaj inspirowały nowe pokolenia.

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

dawid.tyborski@adeste.eu



Jak zostać protestantem



Kamil Mańka

Gdy mowa jest o 500-leciu reformacji, zazwyczaj myśli się o tym wydarzeniu w wielkiej skali – o jego znaczeniu w historii świata i Kościoła. Tymczasem na poziomie codziennego życia katolicy osobiście doświadczają rzeczywistości rozbitcia zachodniego chrześcijaństwa, gdy sami lub ich bliscy z różnych powodów i różnymi drogami zostają protestantami. W niniejszym tekście spróbuję wskazać, co sprawia, że szczególnie młodzi katolicy trafiają do ewangelikalnych zborów.

Na początku chcę zastrzec: ten tekst nie ma pretensji do bycia opracowaniem naukowym, ale oparty jest na osobistych doświadczeniach, wielu rozmowach z konwertytami na ewangelikalizm i obserwacji katolików zmagających się z pokusą protestantyzmu. Aby poruszany problem nie wydawał się zbyt abstrakcyjny, pozwolę sobie skonstruować trzy wymyślone opowieści, które jednak reprezentują pewne typowe historie tego, jak katolicy zo-

stają ewangelikalnymi chrześcijanami.

Drogi, które prowadzą od Rzymu

Maciek wychował się w nie- zbyt praktykującej rodzinie, ale sam zawsze mocno wierzył w Boga i ciągnęło go do kościoła. Chodził na dodatkowe nabożeństwa, czytał trochę przypadkowe książki o wierze, został ministrantem. Gdy miał 16 lat w trakcie wa-

kacji poznał Mateusza, który był ewangelikalnym chrześcijaninem. Mateusz zabrał go na grupę biblijną, której spotkania odbywały się w domu jednego z członków. Maciek został zupełnie porażony przejrzystością Biblii, a pouczony przez uczestników grupy za pomocą różnych wersetów, został zachęcony do oddania swojego życia Jezusowi. Przeżył silne nawrócenie, a ponieważ niczego takiego nie doświadczył w Kościele katolickim, porzucił go krótko po-

tem i przystąpił do zboru Mateusza. Teraz jest głęboko przekonany o prawdziwości zasady sola scriptura i gorliwie przekonuje innych o fałszywości katolicyzmu.

Ela pochodzi z domu gorliwie praktykujących katolików. Rodzice co niedzielę chodzili do kościoła, regularnie się spowiadali, zawsze odmawiali z dziećmi pacierz wieczorem. Chociaż różne praktyki religijne miały duże znaczenie w domu, rodzice niewiele potrafili Eli odpowiedzieć na pytania dotyczące wiary, które ją dręczyły. Obowiązki religijne stawały się dla niej coraz bardziej uciążliwe, a równocześnie coraz mniej je rozumiała. Instynktownie posiadała pewną wiarę, jednak gdy wyjechała na studia przestała chodzić do kościoła, chociaż nachodziły ją wyrzuty sumienia (wobec rodziców czy Boga – tego nie wie). Współlokatorka zaprosiła ją na uwielbienie do swojego kościoła, gdzie Ela po raz pierwszy naprawdę poczuła jakąś więź z Bogiem. Świetnie wykonywana profesjonalna muzyka poruszyła ją do głębi, a gdy po uwielbieniu pewien chłopak wyszedł na scenę i zaczął mówić o życiu z Jezusem, zobaczyła, że życie chrześcijańskie może być o wiele prostsze, a jego zasady zrozumiałe, jeśli tylko odwołuje się bezpośrednio do Biblii.

Tomasz w gimnazjum został zwolennikiem niszowej partii prawicowej. Uważał, że źle się dzieje w kraju i na świecie i postanowił, że trzeba coś z tym zrobić. Jeśli chodzi o jego wiarę, to wierzył w Boga i próbował brać udział w różnych wspólnotach okołoparafialnych, ale nikt tam nie podzielał jego poglądów i nie znalazł dla siebie w nich miejsca. Od dawna brał intensywny udział w dyskusjach w Internecie na różne tematy i pewnego dnia natrafił tam również na forum protestanckie. Po kilku tygodniach śledzenia go, jak również po przeczytaniu wielu stron i obejrzeniu filmów na YouTube linkowanych przez użytkowników, wyrobił sobie zdecydowane



poglądy na to, co Bogu się podoba, a co nie, a także zrozumiał, że Kościół katolicki jest fałszywą religią. Teraz dalej dużo dyskutuje w Internecie z katolikami, prowadzi swojego bloga, na którym niezbiecie dowodzi prawdy na podstawie Biblii. Skontaktował się przez Internet z pastorem małego radykalnego zboru wolnych chrześcijan. Pastor był tak pod wrażeniem gorliwości Tomasza, że zaproponował mu prowadzenie grupy biblijnej po ponownym chrzcie.

To są trzy dość typowe historie porzucenia Kościoła katolickiego na rzecz jakiejś formy ewangelikalnego chrześcijaństwa. Maciek, chociaż dla stronniwego obserwatora może się wydawać bliski Kościołowi, tak naprawdę trochę błądzi i brakuje mu kogoś, kto by go naprowadził. Ela żyje w pewnej pustce dotyczącej wiary, chociaż można by powiedzieć, że pochodzenie na wszelkie sposoby powinno ją chronić przed utratą wiary w katolicyzm. Tomasz sam formuje swoje poglądy, jest osobą niezależną, więc sprawia wrażenie

kogoś zawsze dobrze zorientowanego – temu swojemu zmysłowi słuszności czy rozumowi ufa bezgranicznie. Sami możemy być podobni do wyżej opisanych osób lub znać ludzi takich jak one. Jest niezwykle ważne, by zrozumieć, że nie do końca dokonują one swych wyborów świadomie, a przynajmniej, że nie do końca można je za te wybory winić. Stoją za nimi często różne czynniki, które predysponują do uległości wobec protestantyzmu. Przyjrzyjmy się niektórym z nich.

Powierzchniowy katolicyzm

Dwie pierwsze historie sygnalizują coś bardzo ważnego. Wielu katolików żyje w przeświadczeniu, że katolicyzm jest czymś oczywistym. Jest jak powietrze, którym się oddycha na co dzień. W ten sposób Maciek, chociaż nie pochodzi ze specjalnie praktykującej rodziny, łatwo może utrzymać kontakt z Kościołem, zostać ministrantem itd. Rodzice pozostają nominalnymi katolikami. Rodzice Eli natomiast właściwie nie martwią się o to, by wiarę jakoś szczególnie zro-

zumieć, bo jakby nie zdają sobie sprawy, że coś mogłoby ją realnie podważyć – przecież wszyscy są katolikami. Trudność polega na tym, że katolicy tak sądzący najczęściej już zostali głęboko „zewangelizowani” inną ewangelią – różne idee racjonalizmu, liberalizmu, hedonizmu, konsumpcjonizmu są rzeczywistym budul-



cem ich poglądów, a katolicyzm albo jest jedynie dodatkiem, albo cienką, nic nie znaczącą skorupką pokrywającą całość. Wśród tego „oczywistego” katolicyzmu trudno znaleźć zwykłej osobie kogoś, kto rzeczywiście znałby swoją wiarę od A do Z. Nawet księża i katecheci mają wielką trudność w jasnym wyłożeniu wiary. Zatem kiedy Maciek instynktownie szuka jakichś źródeł dla zrozumienia swojej wiary, zdany jest na przypadkowe książki różnej jakości, które sumarycznie tylko potęgują wrażenie niejasności, a nic nie porządkują. Nie ma przewodnika, który wyjaśniłby mu, jak rzeczy się mają, co jest ważne, a co mniej ważne itd. Najprawdopodobniej sam nawet nie potrafi dla siebie zwerbalizować swojego problemu, więc nie szuka pomocy wprost, zaś ksiądz opiekujący się ministrantami nawet nie ma pojęcia, że z takim problemem ktoś w grupie może się zmagać: przecież wszyscy są katolikami,

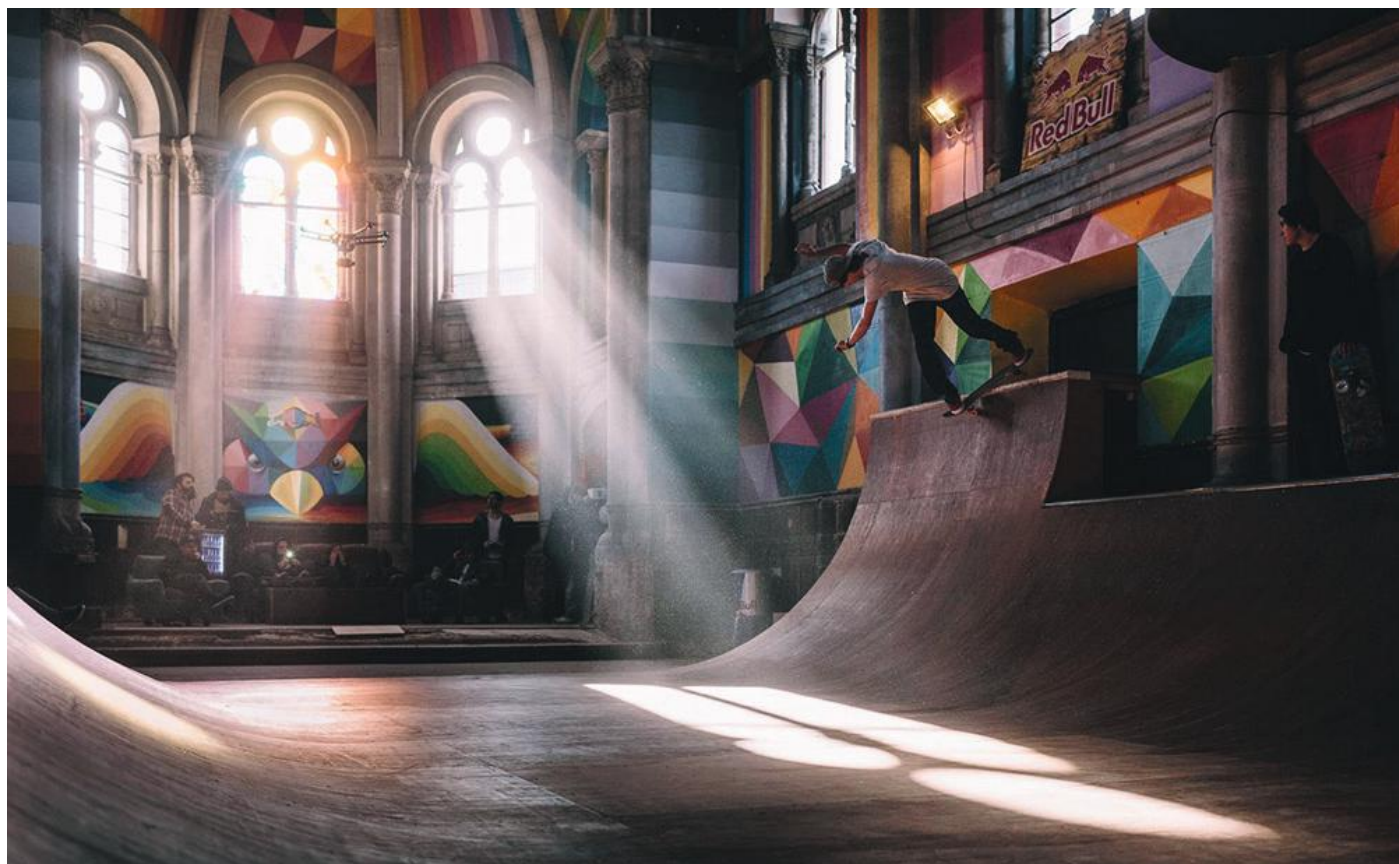
jakoś automatycznie rozumieją, w co wierzą, czyż nie?

Otóż nie. Zrozumienie wiary katolickiej – nie mówiąc już o życiu według tej objawionej prawdy – jest niesamowicie niskie wśród zwykłych katolików, świeckich i duchownych. Nikt nie zdaje się dostrzegać palącej potrzeby rzetelnej, głębokiej katechezy. Wielu ludzi zatrzymało się na poziomie infantylnego wykładu wiary wyniesionego z podstawówki (a czasem, co gorsza, z liceum), w którym nadal króluje wyobrażenie Boga niewiele bardziej dojrzałe niż dziecięca „Bozia”, która za dobre zachowanie wpuszcza do nieba, a za złe wsadza do piekła, przy czym o ile wiadomo, czemu nikt nie chce trafić do piekła, to już nie jest pewne, co takiego ciekawego ma być w niebie. Taka wizja mogła wydawać się wystarczająca w świecie, w którym katolik przez całe życie nie miał okazji napotkać cokolwiek innego oprócz innych katolików, jednak młodzi ludzie z naszych przypowieści nie żyją już w takim świecie. Nie tylko na co dzień spotykają się z innymi światopoglądami, ale sami dniem i nocą są katechizowani przez kulturę popularną w całkiem innym kierunku. Dorośli i dorastający katolicy potrzebują rzetelnej katechezy, która zgodnie z zamysłem Katechizmu Kościoła Katolickiego w uporządkowany sposób przeprowadzi ich przez (I) treść naszej wiary, (II) świadome uczestnictwo w Chrystusie przez życie sakramentalne, (III) logikę życia moralnego w Chrystusie oraz (IV) sens i praktykę osobistej modlitwy. Z tych czterech punktów zwykli katolicy skłonni są gorliwie wykonywać niezbędne rytuały (II), choć bez zagłębiania się w ich znaczenie, wiarę (I) znają szczątkowo, znają niektóre przykazania, ale nie widzą w tym więcej całościowej logiki (III), a modlitwy osobistej prawie nie praktykują (IV). Wszystkie braki w katechezie wypełnione są za to po brzegi przez kulturę popularną.

Rozum, emocje, wiara

Co jest zatem w kulturze popularnej takiego, co może doprowadzić katolików do porzucenia Kościoła? Dwa problemy szczególnie przebijają z opisanych historii. Z jednej strony wszystkie postacie są silnie pociągnięte przez pewną intelektualną przejrzystość, prostotę, racjonalność nauczania, z którym się stykają. Z drugiej strony doświadczają silnych emocjonalnych przeżyć związanych z Bogiem i te przeżycia stają się dla nich argumentem dla obrania nowego kierunku w ich życiu religijnym. Można powiedzieć, że mamy tutaj do czynienia z kwestią stosunku rozum i emocjonalności do wiary.

Nasza kultura wyznaje kult rozumowej prostoty: jeśli czegoś nie da się ująć w postaci krótkiego przekonującego hasła, to nie jest rozumowo prawdziwe. Jeśli coś wymaga ciągu rozumowania, to najprawdopodobniej kryje się w tym jakiś podstęp, a prawda musi być prostsza. Jeśli opisani wyżej katolicy nie mają możliwości zrozumieć swej wiary w jej złożoności tak, by ogarnąć jej wszechstronność, a w zamian mają dostęp tylko do pozornie nie przystających do siebie części, propozycja protestancka będzie z natury do nich przemawiać właśnie ze względu na jej prostotę. Wystarczy Biblia i odczytywane dosłownie wersety, by poznać prawdę i według niej żyć. Ta skłonność do redukcjonizmu, czyli sprowadzania wszystkiego do najprostszych wystarczających twierdzeń, prześladuje dzisiaj różne dziedziny życia. W ten sposób wielu wydaje się, że mogą być własnymi lekarzami – wystarczy, że zastosują się do kilku prostych zasad dbałości o zdrowie. W ten sposób również zawsze większą popularnością będzie cieszyć się polityk, którego rozwiązanie toczących państwo problemów jest pozornie proste, niż ten, który odważy się mówić głośno, że sprawa jest bardziej zniuansowana.



Tymczasem prawda nie jest ani prosta, ani skomplikowana z natury, ale czasem bywa taka, a czasem taka. Jednak zarówno protestantyzm, jak i nasza współczesna kultura wyrastają z podobnej fałszywej intuicji, że prawda nie dość, że musi być prosta, to jeszcze musi być naturalnie zrozumiała dla zwykłego człowieka. W ten sposób Maciek, Ela i Tomasz znajdują w ewangelikalizmie prostą odpowiedź, tak różną od tego, z czym się dotąd spotykali w Kościele. Intuicyjnie sądzą, że ta prosta odpowiedź – czy to w kwestiach wiary, czy moralności – musi być prawdziwa. Nie wiedzą jednak, że ich intuicje nie są naturalne i bezwzględnie oczywiste, ale uformowane przez kulturę, która usposabia ich filozoficznie przeciwko katolicyzmowi.

Emocje odgrywają szczególną rolę dla Eli, chociaż i Maciek traktuje swoje wewnętrzne przeżycie jako punkt odniesienia dla swych przemyśleń. Oboje zdają się nie mieć najmniejszych podejrzeń co do tego, czy ich emocje w ogóle mogą stanowić taki wła-

śnie papierek lakmusowy. Dzieje się tak dlatego, że nasza kultura generalnie mówi nam, że nasze odczucia nie mogą się mylić, że kiedy słuchamy ich, to uzyskujemy dostęp do ostatecznej prawdy. Szczególnie widoczne jest to w różnych dyskusjach na temat moralności, w których ludzkie uczucia są ostateczną miarą tego, co jest słuszne. Nie mówi się o tym, że prawda jest obiektywna oraz że czasami (a czasami dość często) trzeba zignorować emocje i za sprawą wysiłku woli podporządkować się prawdzie. Ela i Maciek nie zdają sobie sprawy z tego, że ich doświadczenie może mieć różne źródła, w tym wiele czysto ludzkich (psychologiczne, społeczne itd.), ani z tego, że można je zinterpretować na wiele sposobów. Raczej mimowolnie przyjmują naukę protestantów, wśród których się znaleźli i swoje doświadczenie biorą za znak uwiarygadniający ich naukę. Często, gdy takim osobom jak Ela i Maciek próbuje się wyjaśnić błąd nowopoznanej przez nich nauki, ich ostatecznym argumentem pozostaje realność ich przeżycia, jest to rzecz,

której nie mogą już przeskoczyć. W pewnym stopniu to zrozumiałe (podobnie jak osobie o głębokiej urazie do kogoś trudno pokonać tę zadrę i spojrzeć na rzecz obiektywnie), jednak to właśnie nasza popularna kultura położyła w nich podwaliny pod tę niemożność zdystansowania się do swoich emocji i traktowanie ich jako przesłanki w rozsądzaniu prawdy.

Jest tutaj kolejna wielka dziedzina szczególnie domagająca się troskliwej katechezy i duszpasterstwa. W naszym niby racjonalnym, niby rozemocjonowanym współczesnym świecie, katolicy potrzebują szczególnie wyraźnego wyjaśnienia tego, jak traktować rozum i emocje w stosunku do wiary. Z jednej strony oznacza to, że trzeba zwłaszcza młodym katolikom ukazywać piękno rozumowej złożoności wiary. Często postrzegają oni to skomplikowanie jako niepotrzebny balast, tym cięższy, że wydaje się nie przekładać ostatecznie na żadną osobiście doświadczaną wartość. Wobec tego wrażenia redukcjonizm i bezpośredniość

zasady sola scriptura będą niezwykle atrakcyjne. Tymczasem złożoność naszej wiary ma dwa niesamowicie istotne, właśnie atrakcyjne aspekty. Po pierwsze, powinno się ją widzieć jako bogactwo, niezwykle skarbiec, skomplikowaną, majestatyczną konstrukcję wzbudzającą zachwyt w równym stopniu, co złożoność natury i Wszechświata. W tym aspekcie niezwykle ważne jest, by dać katolikom wskazówki, w jaki sposób ten złożony depozyt wiary odczytywać, jak się po nim poruszać, by co raz wydobywać z niego ożywiający osobistą wiarę prawdę. Po drugie, trzeba umieć przekazać katolikom doświadczenie tajemnicy, która leży u źródeł skomplikowania rozumowego naszej wiary. Wiara katolicka jest złożona, ponieważ wyrasta z niewyczerpanej tajemnicy Boga. Jest zatem w tej złożoności posmak przygody, odkrycia, podziwu dla niezgłębionego. Złożoność wiary okazuje się być emanacją osobistego doświadczenia tajemnicy objawionego Boga, a nie wynikiem suchej, quasi-naukowej spekulacji. Nie każdy może być astrofizykiem, ale każdy lubi patrzeć w gwiazdy i nauczanie wiary powinno być jak wskazywanie drogi do jak najowocniejszej kontemplacji chrześcijańskiego nieboskłonu teologii.

Tutaj zbliżamy się zaś do kwestii emocji. Otóż pomijając już sprawę błędnego kierowania się emocjami, katolicy nawet zazwyczaj nie wiedzą, że emocjonalność można i należy formować. Słyszą być może o tym w telewizji od psychologów, ale bardzo mało się mówi o tym w Kościele. Istnieje za to wiele wspólnot w Kościele, które bazują na emocjonalnym religijnym rozbudzeniu swoich członków, ale nie podchodzą w ogóle do problemu emocji krytycznie. Tymczasem emocje w życiu religijnym mogą odgrywać zarówno pozytywną jak i negatywną rolę i nie są z natury właściwie ukierunkowane. Może się wydawać, że jeśli ktoś przeżywa coś głębokiego w ado-

racji Najświętszego Sakramentu, co przywiązuje go do obecnego w nim Chrystusa, to nie ma się co wtrącać i należy go zostawić w spokoju. Pewnego dnia może jednak trafić pomiędzy ewangelikalnych chrześcijan jak Maciek i wtedy nie będzie wiedział, że to, co wśród nich przeżyje, nie jest miarą słuszności ich nauczania. Wtedy jednak będzie już za późno, ponieważ nikt nigdy nie wytłumaczył mu, jaką dokładnie rolę odgrywają emocje w życiu wiary. Tymczasem zaś odgrywają one rolę wspomagającą – powinny podążać za wolą, która z kolei podporządkowuje się przyjętej rozumem i sercem prawdzie. Te rzeczy mogą wydawać się oczywiste, gdy się o nich pomyśli, jednak wielu katolików nie ma okazji spotkać się z takim wyłożeniem spraw wprost.

Być samemu sobie papieżem

Do tej pory niewiele się odnieśliśmy do historii Tomasza. Z jednej strony reprezentuje on pewien charakterystyczny typ katolika, który uważa, że wie lepiej, niż Kościół. Nie jest niedoinformowany, zna nauczanie Kościoła w jakiejś kwestii, ale ma własne zdanie i to zdanie uważa świadomie za ważniejsze, niż zdanie Kościoła. Taką indywidualistyczną, krytyczną wobec autorytetu postawą wykazują się różni ludzie. Z drugiej strony w epoce Internetu niektórzy z nich znajdują jeszcze silniejsze umocowanie dla swojego stanowiska w tym, że wydaje im się, że sami mogą z większą pewnością poznać prawdę na jakiś temat bez pośrednictwa autorytetu, a ściślej rzecz biorąc sami sobie wybierają autorytety. Często nie posiadając odpowiednich narzędzi intelektualnych, by ocenić materiały, z którymi wchodzi w kontakt w Internecie, dają wiarę wątpliwym źródłom. W pewnym sensie takie osoby można winić za ich pychę, ale prawdą jest również to, że niewiele mówi się katolikom na temat tego, z czego rzeczywiście czerpać swoją wiedzę, jeśli się jej szuka, jak również jakie są

niebezpieczeństwa czerpania tej wiedzy z Internetu. Ponieważ ta „internetowa samodzielność” jest zjawiskiem nowym, najbardziej uderza w młodych i tym ważniejsze jest, by przedsięwziąć środki mogące zapobiec popadnięciu w taką religijną pychę najbardziej narażonym.

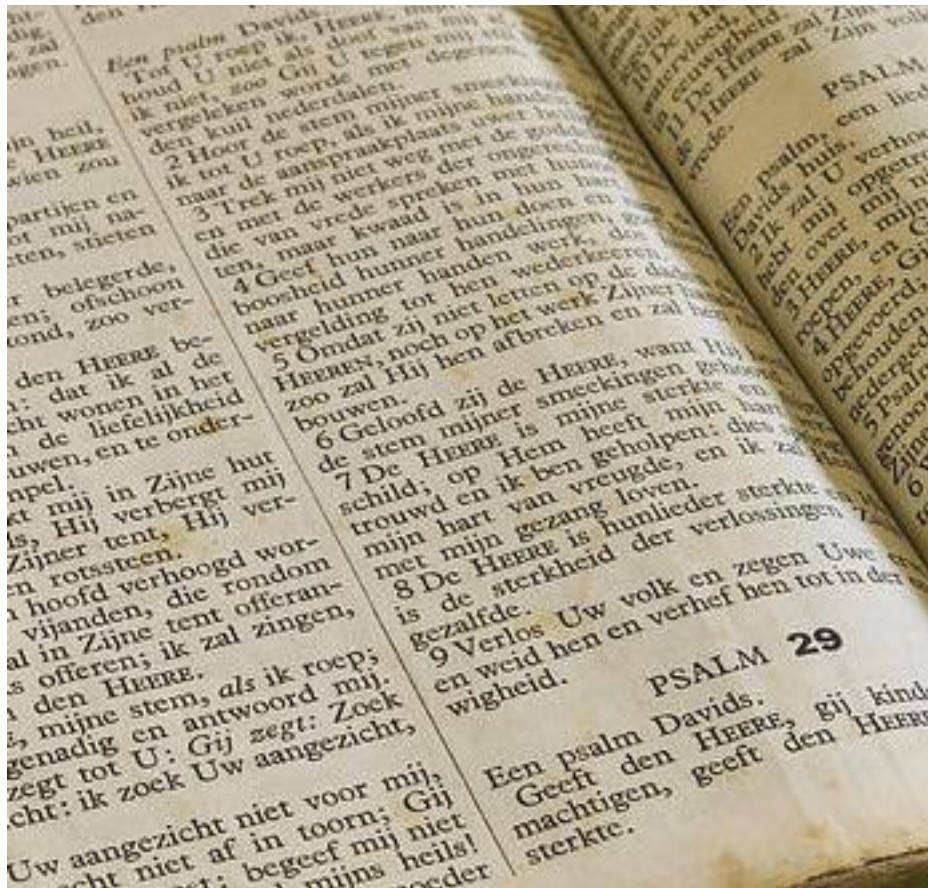
Mamy tutaj jednak do czynienia nie przede wszystkim z pewnym brakiem w Kościele, który wystawia wiarę katolików na próbę, ale z pokusą odpowiadającą na braki w naszym charakterze. Jeśli obserwujemy w sobie to, że mamy skłonność do „własnego zdania”, że w ogólnie uważamy się w jakichś kluczowych, zwłaszcza moralnych, kwestiach za mądrzejszych, jesteśmy narażeni na podążenie drogą Tomasza z naszej historii. Wiele katolików wcześniej odnalazło swoje miejsce w protestantyzmie właśnie dlatego, że wreszcie mogli nieskrępowanie zawierzyć się własnej opinii pod pretekstem zasady sola scriptura. Naturalnie nasza kultura znowu buduje w nas fałszywe poczucie autonomii i przygotowuje grunt pod to, że w chwili kontaktu z ideami protestanckimi możemy stać się swoim własnym „papieżem”. Dlatego trzeba strzec przede wszystkim siebie przed podążeniem tą drogą religijnej autonomii.

Biblia po katolicku czytana

Tym, co wielu katolików pociąga z kontakcie z ewangelikalnymi chrześcijanami jest to, że nie dość, że znają Biblię na wylot, to jeszcze jest ona zawsze bliska ich życiu duchowemu i nie tylko. Ewangelikalizm staje się dla katolików niezwykle atrakcyjny przede wszystkim dlatego, że wprawdzie Kościół nauczył ich wielkiego szacunku i miłości do Biblii, ale poniósł klęskę w zaznajomieniu ich z nią, w wyjaśnieniu, jak Pismo Święte uczynić częścią swojego życia. Ewangelikalni protestanci są pierwszymi, którzy przedstawiają takim katolikom jakiegokolwiek program wcielenia Pisma Świętego w ży-

cie i poświadczają słuszność tego programu własnym doświadczeniem. Ewangelikalizm jako pierwszy zatem dociera do katolików z całościową narracją o miejscu Biblii w życiu chrześcijanina i Kościół może już tylko nieskutecznie próbować przedstawić kontrpropozycję. Tymczasem, gdyby katolicy otrzymywali całościową wizję odpowiedniego odczytywania i wcielania Pisma Świętego od Kościoła, mogliby być zaszczerpieni na wizję konkurencyjne. Kościół pokłada zbyt mało wiary w możliwości intelektualne i duchowe swoich dzieci, nie stawiając przed nimi ambitnych, ale przemawiających do serca i rozumu wyzwań. Innymi słowy, nie traktuje poważnie katolików, jednak w naszym świecie, w którym większość z nas ma dostęp do przepastnych zasobów wiedzy i niezliczonych wprost zjawisk, prędzej czy później ci sami katolicy napotkają kogoś, kto potraktuje ich poważnie, kto powie im, że skoro Pismo Święte jest takie wspaniałe i natchnione przez Boga, to powinien dorosnąć do pełnego jego poznania i praktykowania. I katolik, który kocha Boga, to uczyni, jednak przyswoi sobie błędne sposoby odczytywania Biblii, a za tym również i błędne nauki.

Katolicy, stając się ewangelikalnymi protestantami, stają na wysokości zadania, gdy chodzi o ugruntowywanie swojej wiary w oparciu o Pismo Święte. A przecież gdyby dać im możliwość zrozumieć kościelne metody interpretacji, z równym sukcesem mogliby rozumieć Biblię po katolicku. Zazwyczaj jednak mają do czynienia tylko z wyrwanymi fragmentami, które mają dowodzić katolickich prawd wiary i gdy ktoś przedstawi im kontrfragment lub alternatywną ich interpretację są bezsilni, bo nie posiadają całościowej wizji przesłania Pisma Świętego, jak pokazują losy różnych katolików przystępujących do zborów protestanckich. Tymczasem katolicy są zdolni taką wizję wchłonać, trzeba jednak dać im taką moż-



liwość.

Płynąć pod prąd

Wiele jeszcze rzeczy można by w naszych historiach skomentować. Ciekawe na przykład jest to, jak wielu katolików pociąga w ewangelikalnych zbiorach profesjonalna muzyka – to nawet nie jest sprawa typu muzyki, ale sam fakt profesjonalizmu. Wystarczy pomyśleć sobie na jakim poziomie stoi muzyka w naszych kościołach parafialnych – czy jest to muzyka, której przyszedłby posłuchać nawet człowiek niewierzący ze względu na samą perfekcję wykonania? Piękno naturalnie rezonuje z wrażliwością człowieka, a katolicy minionych wieków doskonale o tym wiedzieli. Warto i o tym pomyśleć.

Przede wszystkim naprawdę należy sobie zdać sprawę z tego, że kultura, która nas od dzieciństwa katechizuje, nie pozostaje bez wpływu na nasze religijne wyobrażenia. Ma ona rysy niezwykle zbieżne z protestantyzmem, wywodząc się

z tych samych filozoficznych i cywilizacyjnych źródeł. To ona uczy nas indywidualizmu, który zamyka nas na niezbędność Kościoła. To ona uczy nas egalitaryzmu i demokratyzmu, które każą nam pogardzać hierarchią i autorytetami. To ona wpaja nam do głów materializm i scjentyzm, przez które tzw. dosłowne odczytywanie Pisma Świętego wydaje nam się bardziej oczywiste niż subtelniejsza alegoria. To ona nęci nas ideą nieomyślnej osobistej intuicji, przez którą mamy być sami nieomyślnymi sędziami wszelkiej prawdy. Jak zostać protestantem? Wystarczy się temu wszystkiemu poddać, pozwolić, by to mimowolnie kształtowało nasze wyobrażenia i odruchy. Jak pozostać katolikiem? Trzeba włożyć w to wolę i wysiłek intelektualny, by swoją wiarę naprawdę zrozumieć, przezwyciężwszy opór kultury.

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

kamil.manka@adeste.eu

Przepis na soloną skrypturę, czyli jak doszło do Reformacji

dk.Mateusz Kopa

Szczypta sporu o uniwersalia, łyżka stołowa zatracenia poczucia christianitas, porcja interesów dynastycznych, porcja indywidualizmu, całość przyprawić humanizmem i dekadencją reprezentantów ważnych instytucji religijnych i państwowych. Włożyć do piekarnika rozgrzanego do 95°C. Wyjąć po kilku dekadach.

Trzy kucharki: Niemcy, Francja, Italia

By zrozumieć, jak doszło do Reformacji, musimy poznać tło, mechanizmy sprzyjające takiemu, a nie innemu sposobowi myślenia. Zasadniczą sceną procesów prowadzących do wielkiego kryzysu były trzy wielkie terytoria: „Najstarsza Córa Kościoła” – Francja, Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego i rozdrobniona Italia. Aktorami spektaklu dziejów były przede wszystkim względy filozoficzne, gospodarcze, polityczne i teologiczne.

Francja XV i XVI wieku miała niezwykle szczęście. Dość daleko posunięta pod względem unifikacji, nie miała większych problemów z wielkimi, wpływowymi feudałami. Nieco bardziej konfliktowo przedstawiała się sytuacja ekonomiczna. Powiązania handlowe ciągnęły Francję ku Italii, gdzie dochodziło do zderzenia z interesami niemieckimi. Córa Kościoła wciąż łapała powietrze, walcząc z zadyszką po wojnie z Anglią, w wyniku której doszło do zmniejszenia tendencji odśrodkowych wewnątrz kraju. Monarcha niewątpliwie zyskał na znaczeniu, czego nie można powiedzieć o stanach uprzywilejowanych. Zwiększyła się również kontrola państwa nad Ko-



ściołem, co miało później duże konsekwencje. W wyniku ustaleń Konkordatu Bolońskiego Król Francji miał między innymi prawo wyznaczać biskupów, co dla innych władców było niespełnionym marzeniem (i istnym ciosem w policzek).

Niemcy – w przeciwieństwie do Francji – cechowały się dużym rozdrobnieniem. Jedyną rzeczą łączącą Niemców z pół-

nocy i południa był względnie „szeroki” organizm zwany Świętym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego. Wewnętrznie Niemcy były podzielone kulturowo, politycznie, a nawet językowo. W tym kontekście dość jasne staje się określenie „Reich” – Rzesza. Nie jest to bowiem monolit, a właśnie „rzesza” bogata w różnorodność. Zasady rządzenia Rzeszą zostały ustalone w 1356 roku w „Złotej Bulli”.

Król obierany był przez siedmiu książąt-elektorów, którzy byli nadzwyczajnie jak na tamte czasy niezależni w swoich decyzjach. Zwyczajem jednak stała się praktyka wybierania Habsburgów na tron Rzeszy. Nie byli oni oczywiście cesarzami dziedzicznymi, ale za każdym razem tron otrzymywał ktoś z domu Habsburskiego. Wynikało to z habsburskiego prowadzenia polityki małżeństw, kontynuowanej później w Austrii („Bella gerant alii, tu, felix Austria, nube” – „Niech inni prowadzą wojny, ty, szczęśliwa Austrio, żęń się”), co doprowadziło w późniejszym czasie do przejścia władzy w Czechach, Hiszpanii i Niderlandach. O ile król francuski – jak już to zostało powiedziane – sam wybierał sobie biskupów, o tyle biskupi niemieccy byli wybierani przez kapituły katedralne, choć Stolica Apostolska pozostawiła sobie pewne pole manewru w tej kwestii (zgodnie z Konkordatem Wiedeńskim z 1448 roku).

Rozdrobnienie Rzeszy to i tak „pikuś” w porównaniu do Italii podzielonej między niezliczonych książąt, królów i Państwo Kościelne. Te ziemie były łakomym kąskiem dla sąsiadów: Niemiec, Francji, a nawet Hiszpanii. Warto wiedzieć, że mimo obiektywnej słabości regionu jako całości, Włosi mieli o sobie bardzo dobrą opinię – uważali się za spadkobierców kultury starożytnej. Słynne stało się w owym czasie hasło „Fuori barbari” – „Precz z barbarzyńcami”. Kim byli „barbarzyńcy”? W rozumieniu Włochów to wszyscy obcokrajowcy ze szczególnym uwzględnieniem Niemców.

„Bimber ludowy” – fermentowanie społeczeństwa

Warto pamiętać, że społeczeństwo tamtego czasu było stanowe – każdy stan miał inne prawa. Do okresu wypraw krzyżowych niezwykle ważna była ziemia, która należała za zwyczaj do szlachty i Kościoła. W późniejszym czasie rozpo-

wszechnił się pieniądź, mający wartość realną (znaczenie wagowo-obrachunkowe). Mniejsze znaczenie ma już ziemia i towary. W związku z tym, że ziemia traci na wartości, tracą również i ci, którzy ją posiadają. O ile szlachta mogła sobie z tym jakoś poradzić, o tyle chłopstwo popadało w coraz bardziej beznadziejną sytuację. Pojawiały się u nich oczekiwania zmian w duchu Ewangelii, tworzył się ferment społeczny. Książęta z kolei potrzebowali ziemi, żeby utrzymać status ekonomiczny. Pieniądze da się mnożyć, ziemię już nie. Jedynym sposobem na zdobycie ziemi była wojna lub odebranie jej Kościołowi.

Zogólnego oglądu na państwa przejdźmy do przypatrzenia się sytuacji w miastach. W XIV i XV wieku to mieszczenie zaczęli budować kościoły. Wzięli oni w swoje ręce odpowiedzialność za religijne funkcjonowanie miast. Miasta – podobnie jak wsie – należały zawsze do kogoś (króla, biskupa, rycerza), jednak zaczęły się wyzwalać. Król nie doglądał miast osobiście, więc zarządzał nimi wójt (na podstawie Prawa Magdeburskiego). Funkcja ta wymagała wielkich nakładów finansowych od miasta. Mieszczenie doszli, więc do wniosku, że miasto może wykupić wójtostwo. Tak powstał samorząd miejski, tj. rajcy, burmistrz. Miasta wyzwalały się i rozwijają, także pod kątem życia religijnego mieszczan. Stanie się to pożywką dla reformacji.

Apetyt rośnie – oczekiwania religijne i sytuacja Kościoła

Sensus fidei wiecznie żywy: ludzie czuli, że w Kościele jest coś nie tak. Na zachodzie pojawili się heretycy, schizmatycy, ruchy heterodoksyjne, których twórcy twierdzili, że czerpią z Ewangelii. Wiara i religia były rzeczami podstawowymi, stanowiły część życia społecznego, ekonomicznego etc. Wiara była bardziej religią społeczeństwa niż jednostki, prawa niż sumienia, ryty niż nauczania, moralności

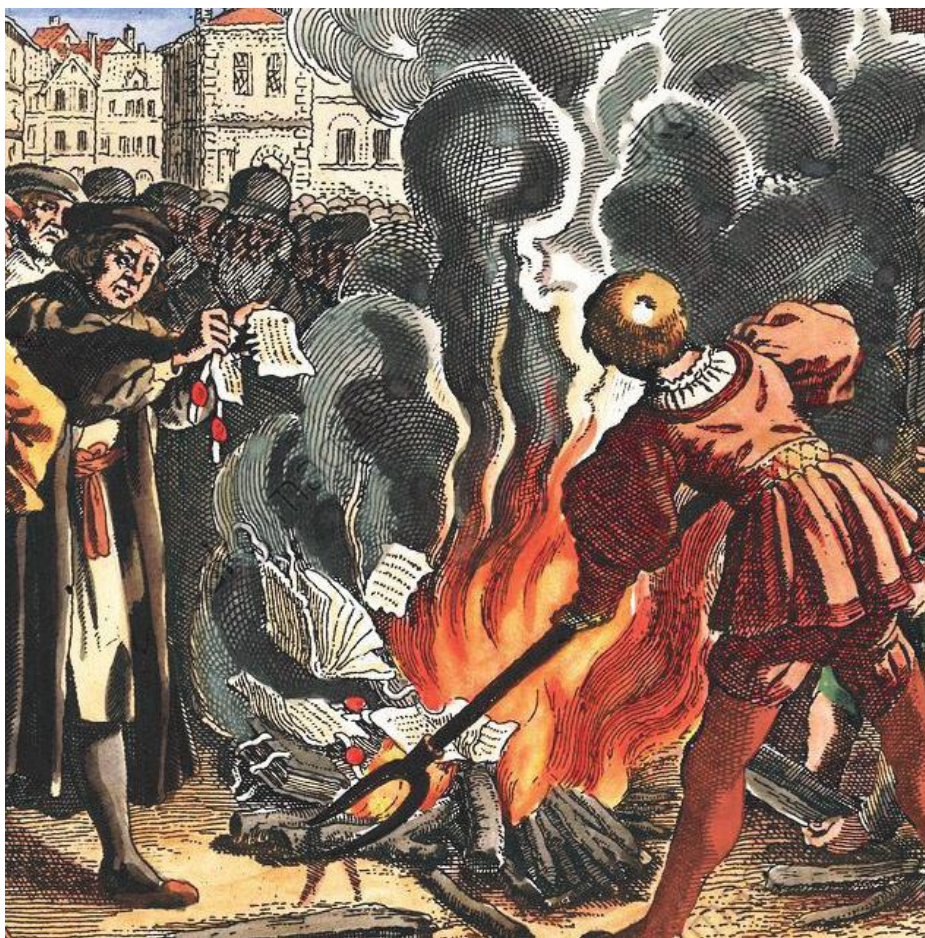
niż dogmatu. Mocno rozwinął się kult relikwii i świętych. Nie brakowało w tym wszystkim elementów pogańskich.

Papiestwo znalazło się w specyficznym położeniu. Skończyła się schizma wschodnia, papież wrócił do Rzymu i musiał odbudować swoje rezydencje, kurie etc. Budowana była Bazylika św. Piotra. Potrzebne były pieniądze, kontynuowany był fiskalizm. Wzrastała niechęć do papiestwa. Wśród Niemców narodziło się poczucie, że ich pieniądze dawane Kościołowi są przeznaczane na papieża, jako kolejnego „włoskiego księcia”, tym bardziej, że pontifex jako książę sprzymierzył się z Francją, czyli przeciwko Niemcom. Papiestwo miało jeszcze prestiż kulturowo-polityczny, ale już nie moralny. Instytucja stała się mocno nieewangeliczna. Biskupi w tym czasie wchodzili w skład senatów, rad królewskich etc. Nie przebywali w diecezji, tylko przy królu (tzw. brak rezydowania). Ponadto praktykowali kumulowanie beneficjów, czyli dóbr związanych z piastowaniem urzędu.

Proboszczowie świeccy czasami przez cały rok nie wynajmowali księży, czynili to dopiero na święta. Powstał jakby stan „duchownych-wagabundów”. Byli niewykształceni, w związku z czym, trzeba było mieć specjalne pozwolenie, by móc głosić kazania. Nie głoszono Ewangelii. Chwała Panu, że już od jakiegoś czasu funkcjonował zakon dominikanów – Ordo Praedicatorum. Utrzymywali się oni systemem żebraczym, ale byli bardzo dobrze wykształceni i mogli przepowiadać Słowo Boże. Potrzebna była reforma.

Piekarnik podgrzewany przez humanizm

Dociekliwy czytelnik może zapytać – skąd wiedziano, że poczynania ludzi Kościoła są nieewangeliczne, skoro nie znano Ewangelii? Ano, już znano. Do jej



rozpowszechnienia przyczyniło się wynalezienie druku. Ponadto ludzie coraz lepiej poznawali języki antyczne, więc niektórzy tłumaczyli sobie Pismo Święte na własną rękę. Wszystko zaczęło się od hobbystów, którzy szukali starych tekstów, kodeksów i kolekcjonowali je. Aby móc odczytać ich treść musieli się nauczyć greki i łaciny. Odkryli, że tamta łacina była piękniejsza niż ta, którą znają. Narodziła się filologia. „Wyływały” stare przekłady Biblii i pisma Ojców Kościoła. Zaczęło się krytyczne docieranie do źródeł wiary.

Od ludzi wyszedł postulat zmian w Kościele. Wspomniani wyżej humaniści mieli możliwość publikacji i rozpowszechniania swoich wniosków odnośnie Kościoła. Ponadto czytając antyczne teksty, humaniści odbierali pewne idee dotyczące człowieka. W umysłowości teocentryzm ustąpił antropocentryzmowi. W związku z tym patrzono na Kościół przez pryzmat człowieka

w wymiarze jednostkowym. Ogólnie rzecz biorąc, człowiek renesansu był bardziej podatny na zmiany.

Ważną postacią był Erazm z Rotterdamu – naukowy autorytet epoki. Zasadniczo pisał on o Biblii i poddawał krytyce Kościoł. Otwierał umysły na reformy, choć nie odszedł nigdy od Kościoła katolickiego. Swego czasu korespondował z Lutrem, ale w pewnym momencie doszedł do wniosku, że nie jest on osobą, z którą można konstruktywnie dyskutować.

W humanizmie możemy wyróżnić dwa zasadnicze nurty: południowy, skupiony na literaturze, stylu i formie oraz północny, opierający się na pismach religijnych, tekstach świętych. Rozwijał się w Niemczech i miał większe zacięcie reformatorskie. Humanizm był wspierany przez papieży – gdyby tak nie było, nie rozwinąłby się w takim stopniu.

Humaniści gardzili scholastyką, gdyż – ich zdaniem – nie przystawała do rzeczywistości. Rudolf Agricola Starszy mówił o sposobie wynajdywania argumentów w scholastyce (na podstawie dzieła „Topiki” Arystotelesa): „Argumentowanie winno pochodzić nie tyle z wywodu formalnego, ale siłę argumentom daje autorytet”. Erazm z Rotterdamu zauważył przydatność spostrzeżenia Agricoli dla teologii. Pierwszym autorytetem jest Pismo, dalej tradycja itd. Erazm dał pewien impuls, ale nie ukończył dzieła. Zadanie to podjął Melchior Cano. Napisał „De locis theologicis”. Idąc tropem Erazma uporządkował autorytety. Wprowadził metodę pozytywną, tzn. „in fundamenta posita” – „położona na fundamentach”, na autorytetach:

- Pismo
- Tradycja
- Ojcowie Kościoła
- nauczanie soborów i papieży
- filozofowie
- historia Kościoła
- doświadczenie powszechne.

Stanowiło to ośnowę dla życia Kościoła. Ważne było odwołanie do Pisma. Taka teologia mogła być spopularyzowana ze względu na swoją komunikatywność. Starą scholastyką nie dało się przeprowadzić żadnej reformy – widzimy teraz, dlaczego humaniści byli tacy ważni dla reformy.

Podać w świetle stosów i płonących miast

Wystarczyła iskra. Nie oszukujmy się – jak nie Marcin Luter, to pojawiłby się ktoś inny, kto sprowokowałby religijną rewolucję. Europa zapłonęła. Niemieccy możni w reformacji dostrzegli możliwość uniezależnienia się od papieża i zdobycia ziemi. Mieszczanie mogli sami zająć się swoją pobożnością. Lud był ukontentowany. Dalszą część historii raczej wszyscy doskonale znamy...



Leon X - bierny świadek reformacji

Ireneusz Mercati



Leon X. Reformator, człowiek swojego czasu, wybitny polityk, opiekun ubogich. A może ktoś kto zignorował kryzys Kościoła i bardziej zainteresował się świeckimi rozrywkami? Na to pytanie próbuje odpowiedzieć historia. Jedno jest pewne – to jedna z najbarwniejszych postaci tamtego okresu.

Rzym, 31 grudnia A.D. 1517.
Zamek Świętego Anioła.

Ten rok naprawdę nie należał do najlepszych – pomyślał przeglądając się w lustrze. – Najpierw zmarł Adriano, z którym przeżyłem wiele cudownych chwil, a dwa miesiące później odeszła słodka Sofia. Nigdy nie zapomnę jej śniadej cery, dużych, piwnych oczu i kształtnych piersi. Ech... Na domiar złego przekłęci Turcy powiększyli swe imperium o Mekkę, Medynę i Kair! A teraz jeszcze sprawa z tym augustianinem... I ten spisek Petrucciego! Co oni sobie myśle-

li?! Zabić mnie?! Papieża Świętego Kościoła Rzymskiego! Na szczęście, ci łajdacy zapłacili za wszystko swoimi głowami. Dobrze, że chociaż sobór udało się zakończyć!

Poirytowany Leon X spojrzał na wielkie łoża stojące w kącie sali Zamku Świętego Anioła. Zamek, choć obskurny i duszny, stanowił idealne miejsce dla spotkań z kochankami. To właśnie z powodu częstych igraszek cztery lata temu rozkazał wybudować windę, która zanoszi każdego prosto do wytwornych papieskich apartamentów.

Tego wieczoru papież Leon czeka na Marcella – jednego z tych chłopaków błagających się po porcie w Ostii, których za mieszek florenów można kupić na własność. Umówił się z nim o 20:00, by rozkosznie rozpocząć świętowanie Nowego Roku. Zaś około północy, na pobliskim wzgórzu watykańskim obejrzą pokaz fajerwerków.

– Oby w tym roku Giulio postarał się bardziej i załatwił te wielkie zielone sztuczne ognie, wybuchające wysoko ponad głowami – westchnął.

Giulio kardynał de' Medici jest papieskim kuzynem, niedawno objął urząd wicekanclerza i to właśnie jemu powierzona została misja zbadania sprawy zakonnika z Wittenbergii.

- Gdyby Bóg naprawdę istniał, nie posadziłby na Tronie Piotrowym takiej kreatury – roześmiał się głośno, zerkając po raz kolejny w lustro.

Zaiste, Leon X był wyjątkowo brzydki. Wielka głowa osadzona na krótkiej szyi wraz z masywną klatką piersiową, podtrzymywana przez krótkie i cienkie nogi, pasowała bardziej do cyrkowego dziwadła niż następcy Księcia Apostołów. Jedyną część ciała, z której był naprawdę dumny stanowiły śnieżnobiałe ręce, które przyozdabiał drogocennymi pierścieniami.

- A może by tak urządzić karnawał, jakiego Rzym jeszcze nie widział? Tylko ile przeznaczyć? Sto tysięcy florenów? Dwieście? – w tym momencie do komnaty wszedł Marcello. – Zdecydowanie, kolejny rok będzie lepszy – zakończył swe rozważania i oddał się miłosnym uniesieniom.

Ten krótki wycinek z życia papieża Leona, choć wiąże w sobie fakty z „licentia poetica” autora, mógł wydarzyć się naprawdę, bowiem jego pontyfikat nie należał do tych, z których katolicy powinni być dumni. Jednak kim w rzeczywistości był Leon X? Czy racje mają twierdzący, iż stan ówczesnego Kościoła, a ściślej – Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, był tak tragiczny, że prędzej czy później musiało dojść do wystąpień pokroju tych Marcina Lutera? Czy w tym papieżu tlił się choć niewielki płomyk wiary? Na te i inne pytania postaram się Drogi Czytelniku odpowiedzieć w tym artykule. Jednak już teraz trzeba zwrócić uwagę na pojawiające się problemy.

Pierwszy to mnogość relacji z omawianego okresu –

mniej lub bardziej wiarygodnych i częstokroć sprzecznych. Kolejny polega na koloryzowaniu życiorysów papieży, zwłaszcza przez pryzmat pontyfikatu Aleksandra VI. Ostatnim zmartwieniem, wynikającym z poprzednich, jest częsta niespójność opracowań historycznych, która nie pozwala na jednoznaczne stwierdzenia, a daje nam jedynie przypuszczenia. Z tych to powodów ocenę postaci pozostawiam Tobie. Oczywiście musisz również zdać sobie sprawę, że w krótkiej notce nie jest możliwa prezentacja szczegółowych monografii i badań na temat tego pontifexa, dlatego swe rozważania będę opierał głównie na opus vitae niemieckiego historyka Ludwiga von Pastora – „Historia papieży od końca średniowiecza”.

Burzliwe życie w burzliwych czasach

Leon X urodził się we Florencji jako Giovanni di Lorenzo de' Medici, syn władcy Florencji Wawrzyńca Wspaniałego. To dzięki staraniom ojca w wieku 11 lat został opatem na Monte Cassino, a mając lat 13 otrzymał nominację kardynalską od papieża Innocentego VIII. Obawiając się sprzeciwu kolegium kardynalskiego, papież uczynił to w sekrecie, a młodemu Medyceuszowi zakazał noszenia szat kardynalskich i insygniów, dopóki nie zgłębi prawa kanonicznego na Uniwersytecie w Pizie. Dopiero po 3 latach kreację kardynalską Giovanniego oficjalnie potwierdzono. Niestety następca Innocentego – słynny Aleksander VI – nie pałał sympatią do nowego purpurata i skazał go na wygnanie z rodzinnego miasta. Powrócił z niego w 1503 roku, gdy na Tronie Piotrowym zasiadł Juliusz II, a dokładnie dziesięć lat później – 11 marca 1513 roku został wybrany Głową Kościoła Rzymskiego. Tyle encyklopedii.

Rzym po pontyfikacie Juliusza II – pontyfikacie nieustannej wojny, zastraszania, tyranii

i grózb, potrzebował chwili wytchnienia. Zarówno jego mieszkańcy, jak i Kuria Rzymska byli zmęczeni ekscesami poprzednich papieży. Kogo więc wybrać? Najlepiej idealne przeciwieństwo Juliusza II. Osobnika, który odwoła finansowe ograniczenia unieważniające wybór papieża za pomocą symonii, odda purpuratom zaległości finansowe, a jego rządy będą cywilizowane. Takiego, który zejdzie z tego świata na tyle szybko, by pozostali również nacieszyli się przywilejem noszenia tiary. Nikt we Włoszech nie był na tyle głupi, by iść w ślady mnicha Savonaroli i atakować prawdziwe ideały renesansowej Italii – życie w spokoju i dobrobycie.

Wszrankach stanęło dwóch kardynałów – Medici oraz Raffaello kardynał Riario. W Wiecznym Mieście stawiano 25 do 15 dla tego pierwszego. Po raz kolejny lud rzymski nie pomylił się – po kilkunastodniowym konklawe wybrano Medicio. Jak się później okazało, w wyborze pomógł fortel zastosowany przez jego młodych popleczników. Zaczęli przekonywać starszą grupę purpuratów, że bardzo słabe zdrowie ich kandydata stanowi gwarancję krótkiego pontyfikatu, a ci połknęli przynętę. Gdy Medici został wniesiony na konklawe na noszach, nabrali odwagi i zagłosowali „za”. Podobno o wyniku głosowania obwieścił kardynał Farnese, wpadając na plac Świętego Piotra, krzycząc „Palle! Palle!” (pol. kule, które znajdują się w herbie Medichich).

Giovanni miał wtedy 37 lat i 3 miesiące. Przybrał imię Leona X i jako że w momencie wyboru nie był nawet księdzem – ostatni taki przypadek w historii papieżstwa – już 15 marca przyjął święcenia prezbiteratu, a dwa dni później sakrę biskupią.

Zastanawiające, co spowodowało tak kiepski stan zdrowia kardynała z Florencji? Otóż, jak donosi Varillas, cierpiał on na bardzo uciążliwe dolegliwości „w takiej części ciała, że przy-



zwoitość wzbrania ją wymienić”. Według plotek ich powodem była nieokiełznana sodomia, lecz z badań brytyjskiego historyka Gerarda Noela wynika, że dolegliwość ta była skutkiem owrzodzenia, a kontakty homoseksualne jedynie ją wzmacniały.

Bogactwo po watykańsku

Koronacja potrójnymi koronami odbyła się 19 marca. Na świętowanie swojego zwycięstwa papież przeznaczył 100 000 z 700 000 dukatów zaoszczędzonych przez poprzednika. Roztrwonił je w jeden dzień. W Bazylice Świętego Piotra kardynał Farnese umieścił na głowie Leona tiarę. Następnie Ojciec Święty, ubrany w szaty przeszywane złotymi niciami i pokryte klejnotami, udał się na białym koniu w kilkutysięcznym orszaku do Pałacu Laterańskiego na okazałą uroczystość. Na Via del Blanco di Santo Spirito bankier Agostino Chigi wznosił łuk z wyrzeźbionymi sylwetkami Apolla, Merkurego i Pallas, nimf

oraz centaurów. To właśnie na nim pojawił się napis wyryty złotymi literami: „Najpierw przemieniła Wenus. Potem odszedł bóg wojny. Teraz nastały czasy wielkiej Minerwy”. Znamienite, że na trasie przejazdu rzymscy bogacze ustawiali posągi pogańskich bogów – Diany, Bachusa, Herkulesa, Wenus, natomiast próżno byłoby szukać postaci świętych.

We wspomnieniach Mariino Giorgiego znajduje się słynne zdanie, które papież miał wyrzec niedługo po wyborze do swojego brata Giuliano – „Bóg dał nam papieństwo. Zabawmy się!”. Zwrot ten, powtarzany przez wielu autorów, dziś wydaje się pozbawiony autentyczności. Przede wszystkim, dlatego, że Giorgi przybył do Rzymu dwa lata po elekcji Leona i nie mógłby być ich świadkiem. Co więcej, jako Wenecjanin, zapewne nie pałał serdecznością do Florentczyków. Najprawdopodobniej w swych notatkach zawarł jedną z anegdot krążących po Wiecz-

nym Mieście, bowiem pojawia się ona w różnych wersjach także u innych pisarzy. Jednakże zdanie to uznane zostało przez potomnych za doskonałe podsumowanie rządów Leona.

Giovanni Medici „traktował papieski dwór jako centrum rozrywki” („The Catholic Encyclopedia”) – urządzał bale maskowe, serwował wystawne dania, wśród których pojawiały się mózgi małp, jęczyczki papug czy przepiórki, a jak relacjonuje hrabia Chigi, srebrne tace wyrzucał do Tybru, bo chciał zaoszczędzić na zmywaniu. Opisy poszczególnych papieskich uciech, z pewnością podkoloryzowane, nie mogą być w całości fałszywe, bo jak inaczej wytłumaczyć pusty skarbiec watykański i ogromne długi po jego śmierci? Wszak czasy Celestyna V, preferującego modlitwę w pustelni bardziej niż pławienie się w luksusie, dawno minęły. Leon kochał polowania, publiczną grę w karty z kardynałami – gdy wygrał rzucał złote monety w tłum;

uwielbiał teatr, muzykę, sztukę i literaturę, zwłaszcza tę lubieżną. Stał się prawdziwym mecenasem. Po Juliuszu II odziedziczył m.in. Michała Anioła i Rafaela. Ten drugi stał się propagandystą Medicich, chociażby uwieczniając czyny wielkich imienników papieża – Leona I, który powstrzymał Attyłę, Leona III, który koronował Karola Wielkiego i Leona IV, który wybudował Urbs Leoniana – każdy miał rysy Leona X. Leoniański Rzym, jak nazywa go Pastor, stał się prawdziwą europejską stolicą kultury, o której z podziwem oraz nostalgią wspomina w swych dziennikach Erazm z Rotterdamu.

Watykan spółka z o.o.

Za Leona X Stolica Apostolska żyła z dnia na dzień dzięki pożyczkom bankierów florenetyńskich i rzymskich. Papież zasłynął z prostych metod zarabiania pieniędzy. Na początku XVI wieku Rzym zamieszkiwało około 50 tysięcy mieszkańców, w tym aż 7000 stanowiły zarejestrowane prostytutki. Leon uznał, że papieskie domy publiczne przynoszą niewystarczające dochody, więc podniósł opłaty. Podobnie zwiększył ceny kapełuszy kardynalskich, od tej pory wahały się od 25 do 70 tysięcy florenów. Według jednej z wersji, to właśnie zbyt mała kwota zaproponowana przez Alfonso kardynała Petrucciego (prawdopodobnie kochanka papieża) za objęcie władzy w Sienie, a co za tym idzie powierzenie jej kuzynowi purpurata oferującemu więcej, doprowadziła do zamachu na życie Ojca Świętego. Choć próba przyłożenia jadu do odbytu papieża podczas dogładania jego hemoroidów spaliła na panewce, to stała się idealnym pretekstem do zarobienia kolejnych sum. Petrucci, jako kozioł ofiarny, został co prawda uduszony przez Maurę za pomocą jedwabnego sznura w kolorze kardynalskiej purpury, ale już pozostali spiskowcy zapłacili grzywny od 5 do 50 tysięcy dukatów. Dodatkowo papież mianował 31 nowych kardynałów. Nie pomna nie dokonać



konstatacji, że Leon X choć był rozrzutnikiem, wiedział też, jak uzdrawiać skarbiec.

Nie tylko papieskie zachcianki były kosztowne. Sporo pochłaniały również wojny i zagrywki polityczne. Wprawdzie Leonowi daleko było do walecznych poprzedników, ale także na tym polu nie szczędził sił i środków dla realizacji swych celów. Przede wszystkim ochraniał przed wrogami swą rodziną Florencję, miał zakusy na trony Neapolu i Mediolanu oraz dbał o dobre stosunki z potężną Francją, by Hiszpania nie stała się jeszcze silniejsza na Półwyspie Apenińskim. Tymczasem prawdziwy problem czał się w innej części Europy...

Bolesny rok przełomu

Rok 1517, który został zapamiętany jako początek luterńskiej reformacji, dla Italii nie miał wielkiego znaczenia. Rozdźwięk pomiędzy Włochami, a Niemcami był ogromny. Zarówno mentalny, obyczajowy, jak i kulturalny. Gdy na włoskiej ziemi powstawały najwspanialsze dzieła renesansu, w północnej Europie wciąż pierwsze miejsce zajmowała sztuka późnego gotyku. Dodatkowo papieska administracja była scentralizowana i prześlągnięta urzędnikami włoskimi, którzy nie rozumieli problemów innych nacji. Brakowało więc jedynie katalizatora. Ten nadszedł niedługo po zakończeniu Soboru Laterańskiego V, który nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, szczególnie w zakresie dyscypliny duchowieństwa. Wzniosłe hasła okazały się li tylko słowami na papierze. Rozdźwięk pomiędzy

duchowością, a sekularyzmem i niemoralne zachowania części kleru miały trwać nadal. Co więcej, papież ogłosił zbórkę podatków na krucjatę przeciwko Turcji, choć nawet to nie pchnęło Lutra do wystąpienia, wszak kolejni papieże przychodzili, obiecywali krucjaty, pobierali daniny, ale żaden nie miał ochoty do walki na następnym froncie.

Dla Lutra kroplą, która przepełniła czarę była sprzedaż listów odpustowych w celu sfinansowania przebudowy Bazyliki Świętego Piotra, a przynajmniej tak ćwierkają źródła historyczne. W Niemczech proceder ten był wyjątkowo plugawy. Jego twarzą stał się Johann Tetzel OP, który wędrował po krajach związkowych i zachęcał do kupna Bożej łaski. Proceder ten, usprawniony przez prasy drukarskie, pozwalające na stworzenie tysięcy listów, stał się gigantycznym przedsięwzięciem. Sam Marcin Luter OSA opuścił bezpieczną Saksonię by usłyszeć, jak zachęca się plebs do zapłaty w gotówce, w zamian za świstek papieru zwalniający z czyścica. Przeciwno tym praktykom 31 października 1517 roku Luter przybił swoje słynne 95 tez do drzwi Schloßkirche w Wittenberdze. 33-letni augustianin nie myślał wtedy o odłączeniu od Kościoła, jedyne czego pragnął to obrony swych postulatów w publicznej debacie.

Jak podaje ks. dr Marceli Nowakowski: „Tezy w 14 dni wszędzie były znane, i z entuzjazmem, zwłaszcza przez humanistów przyjęte. Tetzel odpowiedział 122 antytezami albo 95 częściami przez siebie (50) napisanymi, częściami przez swego nauczyciela Wimpinę profesora Uniwersytetu we Frankfurcie nad Odrą”. Prócz tych przeciw Lutrowi wystąpiło wielu wybitnych profesorów teologii, zwłaszcza z zakonu dominikanów. Rozpoczęła się walka na pióra i roznamiętniła dwa przeciwne obozy. Studenci w Wittenberdze spalili antytezy Tetzela, a Luter odpowiedział na nie w 20 artykułach,

na co znów adwersarz w repli-ce dowodził Lutrowi wspólności poglądów z Wiclifem i Husem. W kwietniu 1518 r. Tetzel spisuje 50 nowych tez, pragnąc na drodze naukowej przywieść Lutra do równowagi. Niestety ten już 14 stycznia pisał do przyjaciela swego Spalatina, że lekceważy dekrety Kościoła i tylko „czystą ewangelię” myśli głosić, gdyż wszystko otrzymał od Boga.

Kościół poobijany przez reformację

Z perspektywy czasu dziwi postawa papieża, ograniczającego swoje działania jedynie do wysyłania instrukcji prowincjałowi czy dominikanom, nazywającego niemieckie dysputy „mnisim sporem”. Błędna była ocena wydarzeń przez Ojca Świętego, który powinien zdawać sobie sprawę z tego, że ciągłe odmawianie oczyszczenia własnego poletka doprowadzi do ogromnych szkód dla Kościoła. Kroki podejmowane przez papieża zadziwiają tym bardziej, że sam pochodził z Florencji

pamiętającej niedawne przecież wystąpienia Savanaroli. W dodatku tym razem cała historia nie potoczyła się na ziemi zamieszkiwanej przez najbardziej niestałych z najbardziej niestałych narodów, a dotknęła twardych, konsekwentnych Niemców. Leon prawdopodobnie do końca myślał, że wystąpienie szeregowego mnicha uda się załatwić najprostszymi sposobami – przez potępienie Tetzela czy wysyłanie kolejnych nuncjuszy. Płonne to były nadzieje.

Należy jednak dla obrony papieża dodać, że Luter z jednej strony demonstrował pragnienie publicznej debaty, a z drugiej strony unikał jej jak ognia. Podczas kapituły zakonnej w Heidelbergu bronił go współpracownik, do Rzymu posyłał jedynie wyjaśnienia i nie stawiał się na rozprawę w sądzie. Na upragnioną publiczną dysputę z wybitnym teologiem Johannem Eckiem OP wysłał początkowo swego przyjaciela Andrzeja Karlstadta, jednakże w końcu przybył





w Wittenberdze 10 grudnia o godzinie 9 rano.

Tymczasem legat papieski Aleksander, po upływie przepisanej czasu, w imieniu papieża rzucił ekskomunikę 3 stycznia 1521 roku na Lutra, a Karol V zażądał przywiedzenia Lutra na zjazd do Wormacji. Luter stawiał się 18 kwietnia 1521 r. przed obliczem Karola V i miękkim głosem począł odwoływać się do soboru, ale nie wyrzekł się błędów. Prawdopodobnie tylko legendą są słowa, które miał wtedy wyrzec: „Oto stoję tu. Inaczej nie mogę. Tak mi dopomóż Bóg”. Po potępieniu przez Sejm uciekł po raz wtóry pod skrzydła elektora saskiego, by zająć się tłumaczeniem Nowego Testamentu na język niemiecki.

Leon X po krótkiej chorobie zmarł 1 grudnia 1521 roku. Nie wiadomo, co było powodem jego nagłej śmierci. Część historyków uważa, że został otruty, lecz nie ma na to bezpośrednich dowodów. Zdaniem większości – w tym Pastora – przyczyny papieskiego zejścia śmiertelnego należy upatrywać w malarii. Pogrzeb Leona odbył się w Bazylice Świętego Piotra i, jak na pochówek Papieża Renesansu, był bardzo skromny, a trumna prosta, bez ozdób. Dopiero Paweł III kaze przeniesć zwłoki do bazyliki Santa Maria Sopra Minerva i wybudować mu nagrobek z białego marmuru. Co ciekawe, nie ma na nim żadnej inskrypcji. Chichot losu, dla człowieka przed i po którym, nie było papieża, który pozostawiłby po sobie większą ilość złotych epigramów na rzymskich budowlach.

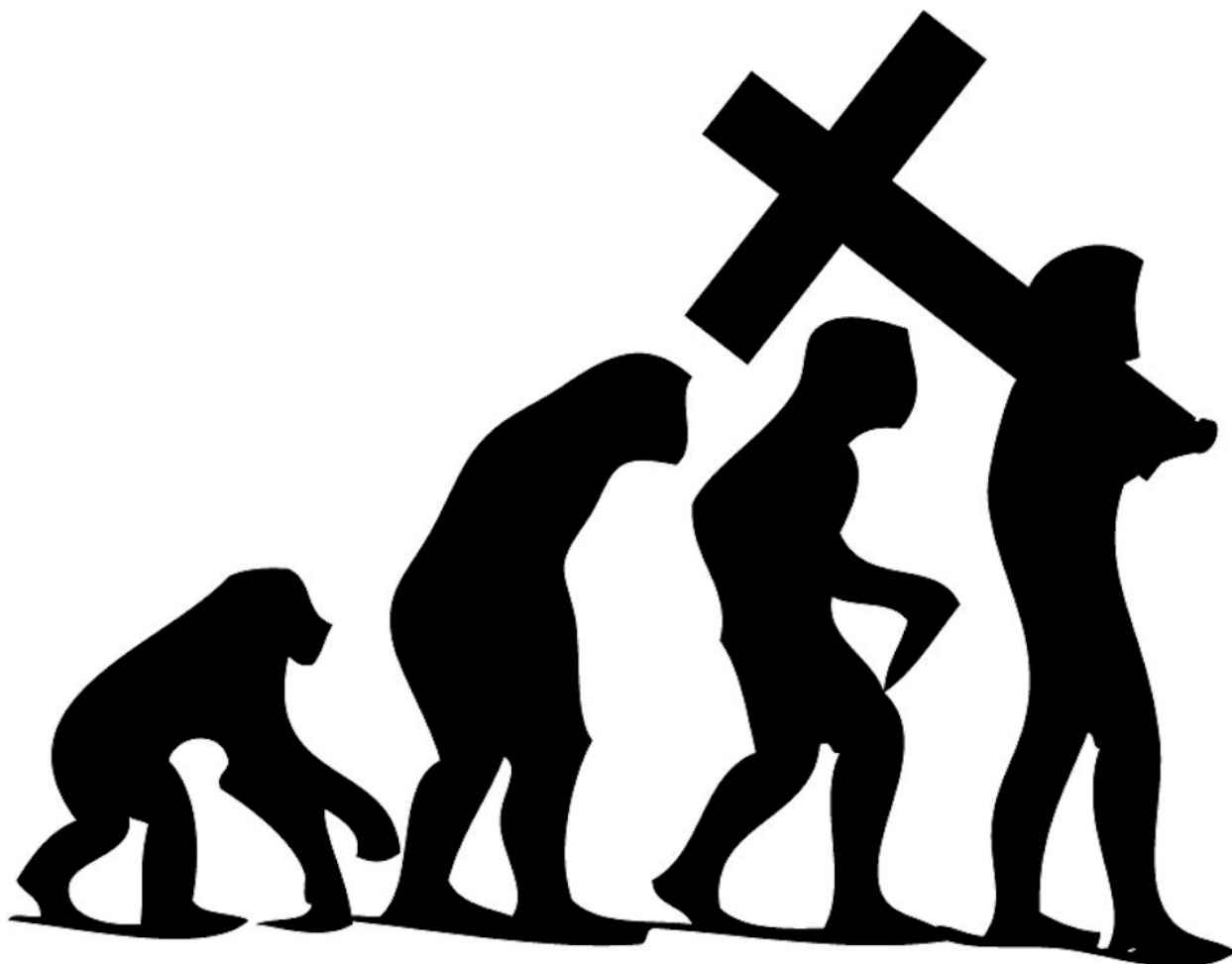
Próba oceny

Postać Leona na trwale wpisała się w niechlubną część historii Kościoła. Kiepski polityk, bez odpowiedniego zmysłu, prowadzący nieustannie podwójną grę nie zyskał szacunku wśród pozostałych władców. Jeszcze bardziej nierzetelny w sprawach religii, całkowicie zlekceważył sy-

gnaty ostrzegające, że autorytet duchowy Kościoła upada. Nie skorzystał też z setek wybitnych teologów w walce z Marcinem Lutrem, a przecież tęgie umysły dominikańskie czy franciszkańskie mogłyby zmiażdżyć tuziny Lutrów. Powszechnie papieżowi zarzuca się ateizm, choć jego słowa o „bajce o Chrystusie” są zapewne nieprawdziwe. Pastor twierdzi, że świeckość Leona była groźniejsza niż rozwiążność Aleksandra VI. Spośród niewielu plusów tego pontyfikatu można wymienić szeroki mecenat artystyczny, bez którego z pewnością Wieczne Miasto nie wyglądałoby teraz tak pięknie.

Leon X był też miłosierny dla biednych i opuszczonych, przeznaczając co roku spore sumy dla potrzebujących. Założył nawet przytułek dla ubogich w Rzymie, który dotował z własnej skarby. Wszystko to niestety sporo kosztowało i wkrótce papieski skarb był już pusty. Szacuje się, że w ciągu całego swojego pontyfikatu Leon X wydał sumę, jaka mogła utrzymać trzech papieżów i jeszcze zadłużył się na poczet przyszłego. Jednak trzeba zaznaczyć, iż jego pontyfikat wolny był od obyczajowych skandali: Leon pobożnie odprawiał modlitwy, słuchał mszy i wypełniał inne religijne praktyki, a swe grzeszne zachcianki spełniał raczej z dala od tłumów.

Giovanni Medici na początku panowania korzystając z gry słów, rzekł, że będzie medykiem leczącym rany Kościoła i chrześcijaństwa, a w rzeczywistości sprowadził na Italię niepokój polityczny, a na północną Europę serię konfliktów religijnych. Na szczęście dla Kościoła, pewien szlachcic baskijski, zraniony w nogę podczas obrony Pampe-luny, właśnie przebywa na rekonwalescencji i dostaje do ręki książkę „Vita Christi” autorstwa Ludolfa Kartuza. Ale ta historia potoczy się według nieco odmiennego, bożego scenariusza...



Pismo Święte, nauka, Sola Scriptura - Rola Pisma Świętego i jak go nie czytać

Konrad Żelechowski

Czym dla protestantów jest sola scriptura i jak to wpływa na naukę? Dlaczego katolickie spojrzenie na wiele spraw związanych z etyką i medycyną różni się od punktu widzenia wspólnot protestanckich?

Kościół Katolicki uważa Biblię za zbiór ksiąg natchnionych mających dwóch autorów – Boga i człowieka, przedstawiający historię kolejnych przymierzy między Bogiem, a ludźmi. Stary Testament został stworzony we wspólnocie pierwszego narodu wybranego, a Nowy wyrósł z wiary Kościoła i jest związany z jego życiem. Syntezę nauki katolickiej o natchnieniu Pisma Świętego podaje nam Sobór Watykański II w Konstytucji o Objawieniu Bo-

żym: „Prawdy przez Boga objawione, które są zawarte i wyrażone w Piśmie Świętym, spisane zostały pod natchnieniem Ducha Świętego. Albowiem święta Matka Kościół uważa na podstawie wiary apostoelskiej księgi tak Starego, jak Nowego Testamentu w całości, ze wszystkimi ich częściami za święte i kanoniczne dlatego, że spisane pod natchnieniem Ducha Świętego (...) Boga mają za autora i jako takie zostały Kościołowi przekazane.

Do sporządzenia Ksiąg świętych wybrał Bóg ludzi, którymi jako używającymi własnych zdolności i sił posłużył się, aby przy Jego działaniu w nich i przez nich, jako prawdziwi autorowie przekazali na piśmie to wszystko i tylko to, co On chciał” (KO 11). „Ewangelia jest w Kościele źródłem wszelkiej zbawczej prawdy i zasad postępowania” (Sobór Trydencki, DŚ. 1501; NR 87; BF III 10). Spisanie dziejów relacji Boga i człowieka oraz słów natchnionych



w formie niezmiennionej i ponadczasowej było niezbędne, aby Pismo mogło być rozprzestrzenione po świecie, badane przez uczonych oraz towarzyszyło nam w codziennym życiu. Jednak ludzka natura została skażona naszą wrodzoną pychą i często Słowo Boże jest traktowane nie tak, jak być powinno. W tym artykule zostanie poruszone podejście przyjmowania słowa Bożego bez żadnej rozwagi, z wyłączeniem autorytetu Kościoła oraz (o zgrozo) dosłownie.

„Przeto, bracia, trwajcie niewzruszenie i trzymajcie się przekazanej nauki, której nauczyliście się czy to przez mowę, czy przez list nasz” (2 Tes 2,15). Przytoczony fragment Nowego Testamentu jest jednym z podstawowych argumentów wiążących dla ludzi Kościoła, traktujących o wadze jego nauki oraz jej roli w rozumieniu słów Pisma Świętego. Katolik czytając objawienie, modląc się słowem lub odprawiając medyta-

cje biblijne zawsze powinien dzielić się swoimi przemyśleniami ze swoim kierownikiem duchowym, aby to, co wywnioskował, pozostało w jedności z nauką kościoła.

Czym jest, a czym nie jest „tylko pismo”?

U naszych braci odłączonych jest jednak nieco inaczej. Istnieje bowiem zasada sola scriptura (łac. tylko pismo), jedna z pięciu zasad protestantyzmu, zaraz obok sola fide (łac. tylko wiara), sola gratia (łac. tylko łaska), solus Christus (łac. tylko Chrystus), soli Deo gloria (łac. tylko Bogu chwała), która stała się jednym z naczelnych haseł reformacji. Kojarzymy ją na ogół z działalnością Marcina Lutra. Zasada tylko pismo, mimo iż leży u podstaw ruchu reformatorskiego, przenika cały świat chrześcijański niezależnie od wyznania. Paradoksalnie fakt znajdowania przez „solę” zwolenników we wszystkich odłamach chrześcijaństwa po-

woduje, że jej odczytanie i znaczenie ulega wykrzywieniu. Dla lepszego zrozumienia tej zasady, w jej maksymalnie zbliżonej do pierwotnej formie, powołam się na artykuł pastora wspólnoty ewangelicko – reformowanej w Gdańsku, Pawła Bartosika^[1], który wylicza podstawowe błędy w jej pojmowaniu, gdyż tak jak katolicy często nie rozumieją twierdzeń własnej wiary, tak nasi bracia odłączeni muszą być napominani w swojej. Uznałem więc, że przytoczenie najczęstszych nieścisłości oraz obrona tej zasady według wspomnianego wyżej pastora będzie dobrym wstępem do dalszych rozważań i pozwoli części katolików zauważyć, gdzie popełniają błąd i mityzują znaczenie tego filaru reformacji.

Pierwszym z nich jest twierdzenie, iż „pierwotny Kościół nie stosował zasady sola scriptura, więc jest ona niewłaściwą metodą”. Autor artykułu podaje tutaj: „zasada »Tylko Pismo« dotyczy

1. P. Bartosik, O błędnym zrozumieniu i zastosowaniu zasady Sola Scriptura, www.gdansk.reformacja.pl/2012-04-13-08-46-32/apologetyka-obrona-wiary/280-bledne-zrozumienie-sola-scriptura.html

standardu wiary w erze Nowego Przymierza od czasu skompletowania wszystkich kanonicznych ksiąg”.

Drugim przytoczonym problemem jest „Wierzę w sola scriptura, więc czytam tylko Biblię”. Pastor w swojej wypowiedzi przestrzega swoich wiernych: „Jest to zarówno naiwny, jak i niebezpieczny przejaw odejścia od... treści Pisma. Samo to stwierdzenie jest dopowiedzeniem do Biblii treści, której ona nie zawiera. To nic innego jak ludzka interpretacja, próba odczytania jej nauczania. Ponadto jest całkowicie błędna, ponieważ sama Biblia zachęca nas do uczenia się, korzystania z mądrości, dorobku innych. Psalm 119, 130 naucza: >>Wykład słów twoich oświeca, daje rozum prostaczkom<<”. Jak widzimy są protestanci, którzy słusznie uważają, iż czytanie tylko i wyłącznie Pisma Świętego oraz odrzucenie każdej innej książki to zubożenie człowieka.

Kolejnym wymienionym problemem i ostatnim, który przytoczę, jest „Wierzę w sola scriptura, więc po co mi Kościół?”. Przyznam szczerze, iż odpowiedź pastora Bartosika jest zaskakująca: „Powyższa postawa całkowicie przeczy zasadzie sola scriptura. Jest nie tylko przejawem pychy, niezależności i indywidualizmu, ale także nie rozpoznaje kontekstu, w jakim Pismo zostało dane oraz w jakim powinno być odczytywane. [...] Pismo powinno być wyjaśniane, interpretowane w kontekście Ludu Bożego. Biblia jest objawieniem woli Oblubieńca przekazanym Oblubienicy. Będąc poza Kościołem (widzialnym, nie zaś tym w atmosferze lub w obłokach) wyłączamy się z grona jej adresatów. Oczywiście osobista lektura Pisma, wnioski badaczy, antropologów biblijnych, komentatorów są cennym źródłem poznania, lecz powinny być osadzone w kontekście Kościoła i konfrontowane, porównywane, badane z jego nauczaniem”.

Czym w takim razie powinna być zasada „tylko pismo”? Według pastora Pawła Bartosika jest to zasada polegająca na tym, że:

- „Pismo Święte, całe Pismo Święte i tylko Pismo Święte jest najwyższym autorytetem, ostatecznym standardem treści wiary i praktyki wiary chrześcijanina”;

- „nauczanie Kościoła, orzeczenia Soborów, Tradycja, katechizmy itp. jakkolwiek mogą być cenne i służyć zachęce chrześcijan, lepszemu zrozumieniu Biblii, to ich wartość, użyteczność powinna być oceniona i przyjęta lub odrzucona w odniesieniu do zgodności z Pismem Świętym” (czyli zakładamy, że zwłaszcza pierwsze sobory oraz pierwsi papieże byli omylni i nie było w tym czasie prowadzenia Ducha Świętego);

- „zachęca do korzystania z pozabiblijnych źródeł”;

- „dotyczy sposobu, w jaki Bóg przemawia w autorytatywny, natchniony sposób »po czasach apostołskich« (po powstaniu ksiąg kanonicznych)...”;

- „nie prowadzi do lekceważącego podejścia do Kościoła. Wręcz przeciwnie. Mówi, że Biblia jest dokumentem przymierza danym »Kościółowi powszechnemu«, nie zaś jednej z jego gałęzi, nurtów. Filarem i podwaliną prawdy jest ten właśnie Kościół – 1 Tm 3,15 (nie zaś jego część). To Kościół posiada kompetencje, autorytet, by Słowo wyjaśniać, interpretować (nie zaś pozakościelne organizacje, badacze archeologii biblijnej, mesjańscy Żydzi itp.). Nie jest on bowiem wytworem kultury, ludzkiego pragmatyzmu, lecz Oblubienicą Chrystusa. To Pan powołał Kościół, odżywia go, zarządza nim i prowadzi ku dojrzałości. Słowo powinno być publicznie głoszone w kościele poprzez powołanych do tego biskupów, księży, pastorów” (osobiście uważam ten za najciekawszy punkt całego artykułu,

który swoją drogą bardzo polecam – odnośnik w przypisie 1 – lecz wgłębiając się w znaczenie tego podpunktu można zaobserwować, że poruszana jest tylko kwestia autorytetu organizacji kościelnej, lecz nie ma wspomnianej roli wiodącej w odczytywaniu znaczenia Pisma Świętego);

- dotyczy całego Pisma (Starego i Nowego Testamentu).

Skończyły już poruszone kwestie dotyczące o tym, czym sola scriptura nie powinna być, można wrócić do człowieka, od którego wszystko się zaczęło, mianowicie augustianina z Wittenbergi, który jest uważany za ojca wszystkich protestantów. „Prosty chrześcijanin zbrojny jedynie Pismem Świętym jest tym, który winien stać ponad papieżem i soborem bez Pisma” (M. Luter).

Jest jeszcze jeden cytat, który pozwala dobrze zobrazować istotę tego jednego z pięciu filarów protestantyzmu. Jego autorem jest angielski teolog, duchowny, współtwórca ruchu metodystycznego John Wesley: „We wszystkich przypadkach, to Kościół ma być osądzany przez Biblię, a nie Biblia przez kościół”.

Nieuznana zasada i jej zagrożenia

Sola scriptura nie występuje w Biblii, co czyni tę zasadę samobójczą. Według ruchów reformatorskich jej podstawą biblijną są następujące fragmenty: „Wszelkie Pismo od Boga natchnione [jest] i pożyteczne do nauczania, do przekonywania, do poprawiania, do kształcenia w sprawiedliwości – aby człowiek Boży był doskonały, przysposobiony do każdego dobrego czynu” (2 Tm 3,16-17); „Ja świadczę każdemu, kto słucha słów proroctwa tej księgi: jeśli by ktoś do nich cokolwiek dołożył, Bóg mu dołoży plag zapisanych w tej księdze. A jeśli by ktoś odjął co ze słów księgi tego proroctwa, to Bóg odejmie jego udział

w drzewie życia i w Mieście Świętym – które są opisane w tej księdze” (Ap. 22,18-19); „Mówiąc to, miałem na myśli, bracia, mnie samego i Apollosa, ze względu na was, abyście mogli zrozumieć, że nie wolno wykraczać ponad to, co zostało napisane, i niech nikt w swej pysze nie wynosi się nad drugiego” (1 Kor 4,6). Zgodnie z duchem artykułu pozostawiam je do wolnej interpretacji. W tym samym Piśmie Świętym pojawia się jednak fragment: „Mamy jednak mocniejszą, prorocką mowę, a dobrze zrobicie, jeżeli będziecie przy niej trwali jak przy lampie, która świeci w ciemnym miejscu, aż dzień zaświta, a gwiazda poranna wszędzie w waszych sercach. To przede wszystkim miejcie na uwadze, że żadne pro-roctwo Pisma nie jest dla prywatnego wyjaśnienia” (2 P 1, 19-21), który wyraźnie zaprzecza wspomnianej wyżej zasadzie. Zostaje w nim zawarte napomnienie, aby Słowo Boże było interpretowane w Kościele oraz z Kościołem. Na pytanie, dlaczego wspólnota Kościoła stawia taki nacisk dotyczący zachowania jedności indywidualnych przemyśleń z tradycją i naukami Kościoła odpowiedź możemy znaleźć w kolejnym fragmencie: „Jak również we wszystkich listach, w których mówi o tym. Są w nich trudne do zrozumienia pewne sprawy, które ludzie niedouczeni i mało utwierdzeni opacznie tłumaczą, tak samo jak i inne Pisma, na własną swoją zgubę. Wy zatem, umiłowani, wiedząc o tym wcześniej, strzeżcie się, abyście dając się uwieść błędom tych, którzy nie szanują praw Bożych, własnej stałości nie doprowadzili do upadku” (2 P 3,16a-17). Wykraczanie osobistej interpretacji poza ramy doktryny Kościoła powoduje odejście osoby od nawet najbardziej podstawowych prawd wiary. Dobrze można to prześledzić na przykładzie postępującej na przestrzeni pięciu wieków denominacji, czyli podziału, co do zasad, wykładni obowiązującej w danej wspólnocie wierzących. Powstały niezliczone odłamy protestantyzmu,



różniące się od siebie zarówno w sprawach sprawowania obrzędów jak i w sprawach doktrynalnych, takich jak wymienione dla przykładu największe zbory protestanckie w USA:

- Południowa Konwencja Baptystów
- Zjednoczony Kościół Metodystyczny
- Kościół Boży w Chrystusie
- Narodowa Konwencja Baptystyczna USA
- Kościół Ewangelicko-Luterański w Ameryce
- Narodowa Konwencja Baptystyczna Ameryki
- Zbory Boże, Kościół Presbiteriański USA
- Afrykański Kościół Metodystyczno-Episkopalny
- Narodowa Misyjna Konwencja Baptystyczna Ameryki.

Sola scriptura a pseudonauka

Jeżeli odrzucone zostaną wszelkie alegorie, metafory oraz sens teologiczny, Pismo Święte zaczyna być kroniką historyczno-naukową. Z Księgi

Rodzaju możemy dowiedzieć się o istnieniu ludzi, którzy żyli ponad 900 lat, wywnioskować, że świat powstał w 6 dni, a jedzenie mięsa to skutek grzechu pierwotnego. Jest to oczywiście uproszczenie, zaś osoby uczone w Piśmie, bibliści i teolodzy, zajmujący się zawodowo w imieniu wspólnoty Kościoła interpretacją Pisma Świętego, tłumaczą nam każdą z tych zawiłości biologicznych dwoma podstawowymi twierdzeniami. Pierwszym z nich jest fakt, iż pierwsze księgi Starego Testamentu były pisane przez ludzi natchnionych, ale jednak dla żyjących kilka tysięcy lat temu. Musiały zawierać uproszczenia, aby zawarte w Biblii fakty naukowe nie utrudniały i nie odwodziły współczesnego im czytelnika od prawdziwego sensu przymierza z Bogiem. Zauważmy, że w dzisiejszym świecie, gdzie nauka stoi na wysokim poziomie, istnieje coraz mniej ludzi, którzy są w stanie się tego wszystkiego nauczyć i zrozumieć, stąd powstają specjalizacje naukowe. 4000 lat temu nie byłoby najmniejszej szansy

na inne przedstawienie historii powstania świata. Drugim powodem stosowania alegorii przez pierwszych autorów Słowa była chęć przekazania przede wszystkim prawdy teologicznej. Dobrym przykładem jest wyjaśnienie, dlaczego przez Księgę Rodzaju przewija się wątek ludzi żyjących prawie 1000 lat i ograniczenia czasu życia człowieka do stu dwudziestu lat. Przekaz jest prosty: mówi nam, że grzech zabija, a świętość pozwala przeżyć więcej. Na przestrzeni tysiącleci alegorie stają się coraz mniej czytelne, co jest normalnym zjawiskiem. Żyjemy jednak w dziwnym świecie, który dopuszcza istnienie idei opartej na dosłownym traktowaniu słów Księgi Rodzaju i powstaniu pseudonauki zwanej kreacjonizmem. Jest to jednak koncepcja dużo starsza niż to, co mamy dzisiaj i to, co jest propagowane przez ruchy reformatorskie, szczególnie w USA. Przez wieki koncepcja biblijnego opisu stworzenia świata była wiodąca w nauce chrześcijańskiej części świata.

Również przez wieki w miarę rozwoju i postępu metody naukowej, nowych doświadczeń empirycznych, rozszerzania pojęć nauk wyzwolonych, koncepcja ta przestawała być podstawową wykładnią świata nauki. Obecnie Kościół katolicki nie zabiera głosu w sprawie uznania jakiegokolwiek teorii czy prawa naukowego za jedyną słuszną wykładnię, ograniczając się do wypowiedzi tylko w tematach wątpliwych moralnie, zwłaszcza z dziedzin medycyny. Głównym założeniem kreacjonizmu jest, że Bóg Stwórca jest przyczyną wszystkiego. Nie byłoby nic niepoprawnego w tym stwierdzeniu, gdyż jest ono wzięte żywcem z Credo, gdyby nie próba wyjaśnienia, jak praojciec to wszystko zrobił. Tutaj trzeba zająć się podziałem kreacjonizmu na dwa nurty główne, mianowicie kreacjonizm młodej Ziemi (ang. young Earth creationism) oraz kreacjonizm starej Ziemi (ang. old Earth cre-

ationism).

Pierwszy zakłada, że Ziemia według interpretacji Biblii ma od ok. sześciu do ok. dziesięciu tysięcy lat i wraz z nią powstało życie oraz człowiek. Wszelki świat został stworzony przez Boga z niczego (creatio ex nihilo). Zwolennicy tej teorii całkowicie odrzucają koncepcje wspólnego przodka, czy to u roślin, czy to u zwierząt, wymieranie gatunków zaś tłumaczą spekulacjami katastrofizmu (który sam w sobie jest przydatny również w tłumaczeniu procesów ewolucyjnych). Należy tutaj wspomnieć o biblijnym potopie, który w tym rozumieniu miał charakter ogólnoświatowy, zaś tłumaczenie jak do niego doszło zakłada płaszcz wodny nad atmosferą, który spadł na ziemię i wypiętrzył góry

dzie, lecz nie ma źródeł z tego okresu dotyczących potopu w innych piśmiennych miejscach na świecie w tamtym czasie).

Kreacjonizm starej ziemi zakłada w dużym skrócie poprawność kolejności stworzenia świata według pierwszego biblijnego opisu, z wyłączeniem dokonania się go w ciągu 6 dni, a zgadzając się na naukowe ustalenia w kwestii wieku wszechświata. Ważnym założeniem jest również wybór Ziemi na kolebkę życia.

Wartym zauważenia faktem jest to, że obie wyżej wymienione teorie nie negują istnienia mutacji w obrębie genomu, lecz nakładają tej mutacji ograniczenia, które nie pozwalają na ewolucję w czasie, którego ona

	Humans evolved, God guided process	Humans evolved, God had no part in process	God created humans in present form within last 10,000 years
	%	%	%
Attend church weekly	24	1	69
Attend church nearly weekly/monthly	39	9	47
Seldom/Never attend church	32	34	23
Less than high school	3	10	57
High school graduate	19	27	46
Some college	16	33	49
College graduate	27	41	27
18 to 29	35	30	28
30 to 49	27	20	46
50 to 64	38	11	44
65+	23	16	50

May 8-11, 2014

GALLUP

SURVEY METHODS

Results for this Gallup poll are based on telephone interviews conducted May 8-11, 2014, with a random sample of 1,028 adults, aged 18 and older, living in all 50 U.S. states and the District of Columbia.

For results based on the total sample of national adults, the margin of sampling error is ± 4 percentage points at the 95% confidence level.

(„dr” Kent Hovind – specjalnie w cudzysłowie, gdyż świat naukowy nie uznał jego dyplomu i tytułu) oraz inne ciekawe figury logiczne (owszem, istnieją poza-biblijne źródła dowodzące słuszności potopu na Bliskim Wscho-

wymaga. Powyższa koncepcja gromadzi wokół siebie dość dużo zwolenników, zwłaszcza w USA, będących najczęściej „ortodoksyjnymi” protestantami.

Poza dwiema podstawowymi szkołami kreacjonizmu mamy jeszcze teorię inteligentnego projektu. Jest to olbrzymia koncepcja z mnóstwem założeń, którą można skrócić do jednego zdania. Procesy biologiczne idą w parze z nieustannym działaniem siły wyższej. Takie stwierdzenie zaprzecza dużo częstszej myśli o roli Boga, jaką jest właśnie wykluczenie ciągłego wpływu stwórcy na proces tworzenia oraz traktowanie dzieła jako skończonego (co prawdę mówiąc jest bliższe słowom „siódmego dnia odpoczął”).

Jakie jest zdanie świata nauki na temat kreacjonizmu?

„Kwestionowanie teorii ewolucji – czymkolwiek motywowane – to zaprzeczanie faktom. To ustępstwo rozumu na rzecz ignorancji” (Tim D. White, paleontolog).

„Nic w biologii nie ma sensu, jeśli nie rozpatruje się tego w świetle teorii ewolucji” (Theodosius Dobzhansky, genetyk).

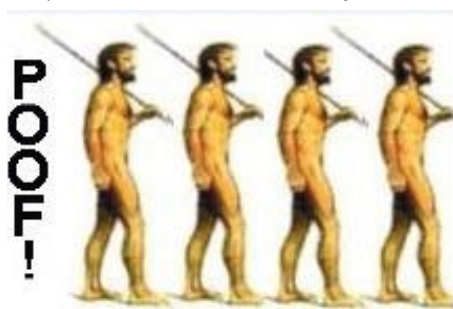
„Biologia ewolucyjna z pewnością nie wyjaśniła jeszcze wszystkich problemów, z jakimi borykają się biologowie, lecz teoria inteligentnego projektu nie podjęta, jak na razie przynajmniej, próby wyjaśnienia czegokolwiek” (Daniel C. Dennett, filozof).

„Každy pogląd w obszarze nauk przyrodniczych, który nie uwzględnia Chrystusa, należy uznać za dogłębnie ubogi [...] Nie da się zachować pojęciowej trafności jakiegokolwiek teorii naukowej, gdy ktoś pomija Jezusa” (William A. Dembski, filozof, matematyk).

Próby obalenia tego pseudonaukowego poglądu były podejmowane wielokrotnie. Przytoczmy tutaj eksperyment Stanleya Millera, który został przeprowadzony w 1953 r., w laboratorium Harolda C. Ureya na Uniwersytecie Chicagowskim. Polegał on na symulowaniu hipotetycznych

warunków środowiska wczesnej ziemi i testował możliwość zaistnienia ewolucji chemicznej. Substancjami wyjściowymi były: woda, metan, amoniak i wodór. W sterylnym układzie dwóch kolb szklanych jedna została wypełniona częściowo wodą, druga zawierała elektrody, pomiędzy którymi przepuszczano wyładowania elektryczne symulujące wyładowania elektryczne w atmosferze. Była to symulacja mająca na celu pokazać możliwą drogę powstania związków organicznych w pierwotnej ziemskiej atmosferze. Po tygodniu trwania eksperymentu 10-15% węgla doprowadzonego do systemu znajdowało się w związkach organicznych. 2% węgla utworzyło trzynaście z dwudziestu dwóch aminokwasów budujących białka. Najczęstszym znajdowanym aminokwasem była glicyna (najprostszy aminokwas). W październiku 2008 r. ponownie przeanalizowano wyniki oryginalnych eksperymentów Millera stosując współczesne metody badawcze. Nowe wyniki wykazały, że w jednym z eksperymentów Millera powstały aż 22 różne aminokwasy.

Innymi tezami przytaczanymi przez kreacjonistów są między innymi: brak skamieniałości pośrednich, który można bez problemu wytłumaczyć małą szansą na ich znalezienie, oraz brak dowodów na makroewolucję (pozwolę sobie polecić stronę www.talkorigins.org/faqs/comdesc/, na której bardzo



przystępnie opisany jest błąd w tym założeniu w 29 punktach).

Jak pogodzić teologię i naukę?

Gdzie tak naprawdę jest sedno konfliktu w nauce? To złożony problem. Kością niezgody jest właśnie pytanie o początek oraz religijne przekonania (a raczej stereotypy nt. przekonań) samych zainteresowanych. To konflikt dosłownego traktowania Biblii, jako podręcznika do historii Ziemi oraz świata nauki, który starym zwyczajem dostarcza z każdym postawionym dowodem kolejnych zagadek. Dotyczy to absolutnie każdej teorii naukowej. Samo pytanie o początek ludzkiego życia sprawia problem każdemu: czy to kreacjoniście, czy ewolucjoniście, wierzącemu czy ateście. Nikt tak naprawdę nie wie, jaki był początek wszechrzeczy. Do tego dochodzi smutny fakt nadużywania słowa ewolucja, chociażby do opisu darwinizmu społecznego, który z samym Karolem Darwinem nie miał nic wspólnego, lecz ogrom zła, który idzie za tą koncepcją jak również brak zagłębienia się w temat przeraża część wierzących. Tak jak wspominałem w pierwszych częściach artykułu, Pismo Święte jest pełne alegorii, a jego sens poznajemy w pełni dopiero kiedy postawimy na teologię. Również wspomniany stosunek Kościoła do teorii naukowych może nam pomóc w wyborze tego, co jesteśmy w stanie uznać za fakt naukowy. W tym temacie jesteśmy ograniczeni tylko naszą umiejętnością szukania właściwych źródeł, a tę przecież można zawsze rozwijać. O roli Boga w stworzeniu mówi nam samo Credo w taki sposób, iż nieważne, co nowego nie pojawiłoby się w nauce światowej, nie zaprzeczy to istnieniu Boga ani jego wkładowi w stworzenie. Można również przytoczyć fragment Księgi Syracha: „Jakże godne ukochania są wszystkie Jego dzieła, i zaledwie isierką są te, które poznajemy” (Syr 42, 22). Jednak, jako katolicy, jesteśmy zobowiązani swoje własne odkrywanie i badanie Słowa Bożego oraz poszukiwania sensu prowadzić, powtarzam, w Kościele i z Kościołem, dla naszego własnego dobra.

Z

a

-



Reforma Kościoła, a rozbitcie jedności – rozważania w oparciu o fragmenty Pisma Świętego.



Michał Gójski

Historia Kościoła jest pełna przypadków upodlenia jego członków. Niejednokrotnie ci, których nazywano chrześcijanami, okazali się zupełnie niegodnymi tego zaszczytnego miana. Mimo to właśnie Kościołowi Katolickiemu powierzona została pełnia środków zbawienia – nawet największy grzesznik może osiągnąć niebo. Chrystus Pan doskonale wiedział, co robi zakładając Kościół. Wiedział też, że losy nowego Narodu Wybranego będą toczyły się różnie, a przede wszystkim, że będzie on potrzebował zmian. „Ecclesia semper reformanda”. Na przykładzie św. Franciszka z Asyżu i Marcina Lutra spróbuję omówić problem reform.

I. Żywot św. Franciszka

Urodzony w 1182 r. w stosunkowo zamożnej rodzinie otrzymał wykształcenie przy szkółce parafialnej, poznał prowansalską odmianę języka francuskiego, poezję rycerską i muzykę. Gdy między Asyżem, a Perugią wybuchła wojna, na krótko wstąpił do wojska. Wzięty do niewoli, dopiero

po roku wrócił do domu, gdzie wyzdrowiał. Po tych wydarzeniach wyruszył do Apulii, gdzie chciał zostać pasowany na rycerza. W czasie podróży po raz pierwszy we śnie usłyszał głos Boży: „Franciszku, dlaczego szukasz sługi zamiast pana?”.

Mimo to, potrzeba było jeszcze dwóch sytuacji, aby młodzieniec zmienił swoje życie.

W Asyżu, w trakcie zabawy, został okrzyknięty królem tamtejszej młodzieży. Spotkał wówczas trędowatego i, przezwyciężając wstręt, ucałował go, dając mu jałmużnę. Wracając, zatrzymał się w kościele św. Damiana. Podczas modlitwy – wszak odczuwał powołanie do drogi duchowej – usłyszał głos Boży wołający po raz drugi: „Franciszku, idź, napraw mój dom, który rozpada się

w gruzu!". Zrozumiałwszy to wezwanie dosłownie, począł odbudowywać kościoły św. Damiana, św. Piotra i Matki Bożej Anielskiej.

Wówczas, aby mieć pieniądze na ten cel, sprzedał sukna ze składu ojca. Ten oskarżył go o kradzież i zagroził wydziedzczeniem. Franciszek nie ugiął się i, jak głosi legenda, oddał ojcu wszystko, co od niego otrzymał, nawet noszone wówczas ubranie.

Tak oto widzimy młodego mężczyznę, który wyrzeka się dóbr materialnych. Nie czyni nic nowego – dotychczas waldensi i katarzy go w tym uprzedzili. On jednak widzi w pozbyciu się dobytku nie cel sam w sobie, ale środek, który pomoże osiągnąć cel właściwy, czyli zbawienie. Franciszek obmyślał już pewien plan. Założył brązową tunikę wieśniaczą w kształcie krzyża, przepasał biodra i zaczął nauczać. Wkrótce przyłączyli się do niego inni. Z nimi przemierzał Włochy. Hała tej wspólnoty, która przecież głosiła tylko (i aż!) Chrystusa oraz jej sposób bycia wydawały się wówczas tak radykalne, że posądzano jej członków o herezję, upraszczając sposób myślenia w ten sposób, że Franciszka i jego towarzyszy wiązano z waldensami i katarami.

Wobec takich zarzutów on sam nie mógł bezczynnie czekać. Stworzył regułę^[1] i przedstawił ją papieżowi Innocentemu III. Ojciec Święty początkowo jej nie zaakceptował, ale Franciszek nie ustępował. Ponownie przedstawił swoje racje, wskazał, że jest przeciwwagą dla szerzących się herezji i tym razem – zapewne dzięki wrodzonej łagodności i talentowi krasomówczemu – uzyskał zgodę na stworzenie zakonu żebraczego. Niektórzy dodają, że wówczas św. Franciszek przyjął święce-

nia diakonatu. W 1209 r. bracia osiedlili się przy kościele Matki Bożej Anielskiej i tam zorganizowali pierwszy klasztor. Przyłączyły się do nich rzesze ludzi.

Co zrobił dalej? W 1212 r. wyruszył w kierunku Syrii, by nawracać Saracenów, ale przeciwnie wiatry sprawiły, że jego statek wpłynął do portu w Dalmacji. Stamtąd Biedaczyna skierował się do Włoch, gdzie uczestniczył w Soborze Laterańskim IV... Broniąc zakonów żebraczych!

W1219 r. dotarł do Egiptu, gdzie próbował nawrócić sułtana Melek-el Kamela. On, nie przyjąwszy prawdziwej wiary, pozwala Franciszkowi bezpiecznie opuścić obóz muzułmański i odwiedzić miejsca święte w Palestynie.

Kilka lat później św. Franciszek zmodyfikował regułę, którą papież Honoriusz III zatwierdził bullą „Solet annuere”. W roku następnym, w trakcie czterdziestodniowego postu przed uroczystością św. Michała Archanioła, otrzymał łaskę stygmatów. Bardzo doświadczony pracą ewangelizacyjną, wyniszczony chorobami, na wpół ślepy, zmarł 3 października 1226 r. Dwa lata później kanonizował go papież Grzegorz IX.

II. Co można powiedzieć o św. Franciszku?

Z pewnością zastosował ewangeliczną radę dobrowolnego ubóstwa, najpierw do siebie, a następnie współbraci, których zresztą nie zmuszał siłą do życia według ułożonej przez siebie reguły. Poszedł za wezwaniem Chrystusa, które potrafił traktować bardzo dosłownie. Stanowi do dziś przykład posłuszeństwa, ale nie ślepego – umiał z szacunkiem czekać na ocenę papieża,

którego starał się jednak przekonać do słuszności idei. Ten krótki życiorys przedstawiony powyżej ma przekazać jedną myśl: św. Franciszek zaczął od siebie. Pocatunek trędowatego, rezygnacja z dóbr doczesnych, posłuszeństwo względem Bożych nakazów... Można powiedzieć, że jest on jednym z tak chętnie poznawanych postaci właśnie przez swoją autentyczność.

III. Działalność Marcina Lutra ^[2]

Urodził się 300 lat po św. Franciszku. W 1505 r. otrzymał tytuł magistra filozofii na Uniwersytecie w Erfurcie. W lipcu tego samego roku wstąpił do zakonu augustianów. Dwa lata później otrzymał święcenia prezbiteratu. W 1512 r. zdobył doktorat z teologii. Można by rzec, nieźle zapowiadającą się karierę zatrzymało wydarzenie bardzo bolesne dla Kościoła, przyczyna schizmy zachodniej. W 1517 r., 31 października, Marcin Luter przybił do drzwi kościoła w Wittenberdze swoje 95 tez.

Szybko wywiązała się dyskusja. Środowisko teologów, poruszone nowinkami, podzieliło się. Przeciwko Lutrowi wystąpili Tetzel, generał dominikanów^[3] Sylwester Prierias i Eck. Znaleźli się tam i inni, mniej lub bardziej znani teologowie. Sam Marcin Luter unikał prowadzenia dysput.

W pewnym momencie o konflikcie dowiedział się Rzym. Sam zakonnik rozpoczął korespondencję ze Stolicą Apostolską, zapewniając o swoim oddaniu, nie odwołał jednak swoich twierdzeń. Otrzymał, więc wezwanie do stawienia się w terminie sześćdziesięciu dni. Dzięki protekcji Fryderyka III Mądrego Lutrowi pozwolono odbyć tylko publiczną dysputę na zamku w Augsburgu.

1 Ponoć umieścił w niej tylko trzy cytaty z Biblii: Mt 19, 21; Łk 9, 3; Mt 16, 24

2 W niniejszym artykule odstąpię od dywagacji na temat prawdziwości powołania Marcina Lutra i rzetelności sprawdzenia tegoż.

gu z kard. Kajetanem, legatem papieskim. Tu również wkroczył książę-elektor, oświadczając legatowi, że tezy Marcina są zupełnie ortodoksyjne, wobec czego odstąpiono od dysputy, elektor zaś zażądał rozpatrzenia sprawy przez 4 uniwersytety.^[4]

4W końcu jednak Luter musiał podjąć dysputę. Na przełomie czerwca i lipca 1519 r. w Lipsku spierał się z prof. Janem Ekiem, który, wykazawszy się zdecydowanie większą wiedzą, pokonał Lutra, wykazując zbieżność jego tez z poglądami Husa (wzajemny związek błędnych twierdzeń przyczyniał się gdzieś do obudzenia wrażliwych wspomnień brutalnych wojen husyckich, a powtórki chciano za wszelką cenę uniknąć, stąd tyle szans dawanych Lutrowi).

W związku z anarchią, jaką wywołał herezjarcha oraz coraz śmielszymi i głośniejszymi wystąpieniami przeciwko Rzymowi, Ojciec Święty Leon X bullą „Exsurge Domine” potępił 41 z 95 tez zakonnika. Znowu otrzymał on 60 dni na stawienie się w Rzymie i ich odwołanie. Luter spalił jednak dokument. Wobec tego, po upływie wyznaczonego czasu, papież Leon X obłożył Marcina i jego zwolenników ekskomuniką.

IV. Podsumowanie działalności Lutra.

Heretyk ów został teologicznie pokonany. Mamy też dowody, że obok niezwykle lojalnych listów prowadził także korespondencję oskarżającą Rzym i sugerował, jakoby papież miał być antychrystem. O ile słusznie obruszył się przeciwko złu, które sam widział, o tyle to, co mógł naprawić mu nie wystarczyło. Podejmował się, więc reform tam, gdzie nie umiał ich przeprowadzić i do których

nie został wezwany. Działając w nieposłuszeństwie, wystąpił przeciwko hierarchii kościelnej.

V. Wyciągnięcie wniosków.

Działalność Lutra i św. Franciszka jest pełna sprzeczności. Obaj mężowie żyli w kompletnie różnych czasach, istnieje jednak pewna korelacja łącząca czas ich życia, którą należy wskazać: Kościół znajdował się w stanie kryzysu. Zapewne przyszedł moment, kiedy przeczytali słowa Jezusa: „Ty jesteś Piotr [Opoka]... i Tobie dam klucze królestwa niebieskiego” (Mt 16, 18-19). Jeden z nich pokornie zauważył w tym fragmencie obowiązek posłuszeństwa Ojcu Świętemu. Interpretował go nie tak, jak mu mówiły jego własne wyobrażenia, ale jak wykładali go Ojcowie Kościoła, a przed nimi – Apostołowie i sam Chrystus.

Widać jeszcze większy kontrast między św. Franciszkiem, a Marcinem Lutrem, kiedy przeczyta się fragment: „Kto was słucha, Mnie słucha, a kto wami gardzi, Mną gardzi” (Łk 10, 16). Św. Franciszek pozostał wierny kościołowi, przechowującemu skarb Tradycji. Co więcej, pozostał wierny w najtrudniejszych chwilach oskarżeń o herezję. Bronił się, przedstawiał swój punkt widzenia w sposób łagodny, z pełnym szacunkiem.

Ostatni wreszcie fragment, który trzeba postawić między Lutrem a św. Franciszkiem: „A więc: poznać ich po owocach” (Mt 7, 20). Czy dobre owoce to nieposłuszeństwo, nienawiść i podział? Nie możemy powiedzieć, że cel uświęca środki. Choć Pan Bóg wyprowadził z reformacji, a raczej z grzechów tych, którzy ją zapoczątkowali, dobro, to jednak ciąży na nich moralna odpowiedzialność za popełnione czyny.

Katechizm Kościoła Katolickiego w punkcie 1750 mówi nam o tym, jak ocenić ich status. Według Magisterium można w nim wskazać trzy „źródła, czyli elementy konstytutywne moralności czynów ludzkich”. Są to:

- wybrany przedmiot;
- zamierzony cel, czyli intencja;
- okoliczności działania.

Oznacza to, że aby czyn był moralnie dobry, każdy z w/w punktów musi być od początku do końca dobry.

Św. Franciszek zachował porządek w swoim postępowaniu. Choć on i Luter mieli wspólną intencję i przedmiot zainteresowania, to jednak różniły ich okoliczności działania. Więcej nawet, ten drugi zapewne zmienił swoją intencję. Nie liczyła się już naprawa Kościoła, ale zreformowanie go za wszelką cenę.

VI. Zakończenie

Wszystko to, o czym tu pisałem, niech będzie przestrogą dla nas samych. Żebyśmy tylko nie uznali, że zawsze wiemy lepiej. Z tą pokusą, znaną już Adamowi i Ewie, zmagamy się codziennie. Może próba jej pokonania jest takim małym zwycięstwem, które i tak więcej znaczy niż działalność Marcina Lutra? Zapewne dowiemy się tego dopiero po śmierci.

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

michal.gojski@adeste.eu

⁴ Autorowi nie są znane bliższe szczegóły tej sprawy. Jak można jednak wywnioskować z dalszego fragmentu tekstu, uczelnie, o ile odniosły się do tez Lutra, były im przeciwne, wobec czego stosowano w stosunku do zakonnika inne kary i napomnienia.



Reformacja Lutra, a Eucharystia i Msza Święta

Kamil Pindel

Podział w Kościele przeprowadzony przez ojca reformacji, Marcina Lutra, skutkował również zmianami w rozumieniu sakramentów. Jak powszechnie wiadomo, były augustinianin z Wittenbergi uznał rozumienie sakramentów za idolatrię i do ich katalogu zaliczył jedynie dwa z siedmiu uznawanych przez katolików: chrzest i Wieczerzę Pańską. W niniejszym artykule chciałbym opisać w zarysie luterskie nauczanie na temat drugiego z nich, a także rozumienie mszy świętej przez Lutra. Temat ten wydaje się istotny choćby dlatego, że uczestnictwo w niedzielным sakramencie kształtuje, w przeważającej mierze, wiarę chrześcijan oraz z faktu, że w XVI w. kwestia ta powodowała ostre spory. I to zarówno między reformatorem, a papistami, jak i z innymi bardziej radykalnymi przywódcami reformacji, a nawet wewnątrz obozu luterskiego.

Wittenberski profesor zabrał się za reformy liturgiczne po ostatecznym rozbracie z Rzymem w roku 1521. Musiał wtedy uciekać na zamek Wartburg, więc pierwszym zmianom

ton nadawali Karlstadt i Gabriel Zwilling. Pod ich wpływem rada miast Wittenbergi przyjęła reformy polegające na zniesieniu mszy prywatnych, celibatu duchownych, likwidacji klasztorów,

zakazaniu spowiedzi usznej, wyrzuceniu z kościołów wszelkich obrazów oraz wprowadzeniu komunii pod dwiema postaciami. Po powrocie sam ksiądz doktor podjął się dzieła odnowy.

W 1523 zmodyfikował średnio-wieczny porządek mszy (zwany przez niego Formula Missae lub Msza łacińska). Trzy lata później ułożył nabożeństwo, które nazwał Deutsche Messe. Zależało mu by przez wprowadzenie języka narodowego i uproszczenie obrzędów nabożeństwo było łatwiejsze do przyjęcia dla niewykształconego ludu. Jak zapewniał, chodziło mu też, by było bliższe ewangelii niż dawne obrzędy.

Dla Lutra nie istniała idealna, autentyczna liturgia. Obydwie stworzone przezeń formy mogły współistnieć (i to przez długi okres, bo bez większych zmian od 1526 r. do końca XVII w.), jednak w dostosowaniu do mieszkańców danego regionu i ich stopnia przywiązania do tradycyjnych form (w Mszy Łacińskiej zachowano ich więcej, były to m.in. Introit, Graduał, Sekwencje, Benedictus, Agnus Dei). Podstawową zmianą było przesunięcie akcentów – punktem kulminacyjnym nabożeństwa była nie konsekracja, a kazanie. Religijny buntownik uważał, że wspólne gromadzenie się wiernych na śpiewie czy czytaniach, nie ma sensu, jeśli nie łączy się to z przepowiadaniem. Bronił skracania modlitw i psalmów, gdy przez to więcej czasu można było poświęcić na kazania. Poza tym nabożeństwo było bardziej wspomnieniem Ostatniej Wieczerzy niż Kalwarii, bardziej ucztą niż ofiarą.

Eucharystyczna rewolucja

Marcin Luter był jednak dość ostrożny we wprowadzanych zmianach. Choć z jednej strony odrzucał postrzeganie mszy, jako ofiary za żywych i umarłych oraz „papieską” teorię transsubstancjacji (bazującą na metafizyce Arystotelesa, o którym ksiądz doktor miał bardzo złą opinię). Już w pierwszych latach uwidoczniły się jego konflikty z tzw. lewicą reformacyjną. W bardzo ostrych słowach atakował radykałów zwanych „sakramentarzami”, „fanatykami”

lub „marzycielami” – zwinglian i anabaptystów uznających tylko duchową obecność Chrystusa w chlebie, a Wieczerzę traktujących, jako radosny posiłek dziękczynny i świadectwo wiary, kalwinów optujących za obecnością jedynie symboliczną, a także zwolenników Karlstadta, Kacpra Schwenkfelda i innych. Dla podążających za Wirtemberczykiem ewangelików augsburskich Ciało Pańskie było obecne z chlebem albo w chlebie (tzw. konsub-

a jedynie zrzucić podległość cesarzowi i papieżowi oraz zwrócić się ku lokalnym władcom. Nie chcieli również kwestionować porządku społeczno – majątkowego (za wyjątkiem wypędzania duchownych i kasowania klasztorów). Anabaptyści i radykalne skrzydło Reformacji głosili program niemal komunistyczny, proklamujący Królestwo Boże na ziemi, stąd ich konsekwencja w negacji sakramentów, hierarchii kapłańskiej i nauki o Eucharystii.



stancja, dziś jednak nie jest teorią obowiązującą luteranów).

Ta kwestia spowodowała w łonie reformacji bardzo ostry spór. Luter uważał, że realizuje po prostu to, co jest dosłownie zawarte w Słowie Bożym, dlatego Zwingli musiał podkreślić swoją niezależność od reformacyjnego pioniera. To jednak nie było jedyne „drugie dno” omawianej kwestii. XVI w. był okresem, w którym za argumentami teologicznymi nieodłącznie szły polityczne i społeczne. Nauka Lutra i Melanchtona (nazywana czasem „neo-katolicyzmem”) stanęła niejako w pół drogi między katolicką ortodoksją, a całkowitym radykalizmem. Ośrodek wittenberski nie chciał pozbawiać organizacji eklezjalnej wszelkich ram instytucjonalnych,

Spór o słowa

Podobnie rzecz miała się z Komunią pod dwiema postaciami. „Świecki kielich” był bowiem poważną kwestią dyskutowaną na długo przed 1517 rokiem. Fakt, że w rycie zachodnim tylko kapłan mógł spożywać Ciało Pańskie pod dwiema postaciami był z czasem odczytywany, jako potwierdzenie odrębnego statusu feudalnego duchowieństwa. Walka o udostępnienie Krwi wszystkim wiernym miała je zatrzeć. Na marginesie można zauważyć, że w ostatnim europejskim kraju, który przyjął chrzest – Litwie, gdzie rzymski katolicyzm nie zdążył się głęboko zakorzenić, już przed tym aktem obecne było chrześcijaństwo w obrządku wschodnim, dopuszczające Komunię sub utraque species, co



Od braku pokory do puszki Pandory



Konrad Myszkowski

Ideologię definiuje się najczęściej, jako system poglądów stworzony w oparciu o świadome dążenie do realizacji konkretnego interesu określonej grupy. Na jego podstawie kształtuje się światopogląd i postawy. To odróżnia ją od nauki i filozofii, których celem jest poznawanie świata za pomocą odpowiednio badań oraz umysłu. Jak pokazuje historia, ideologie są zazwyczaj niebezpiecznym, ale chętnie wykorzystywanym narzędziem osiągnięcia różnych przyziemnych celów. Wiele ze współczesnych i historycznych ideologii bierze swoje źródło z rewolucji protestanckiej, która sama w sobie nosi wyraźne znamiona ideologii.

Ostatnie październikowe popołudnie roku 1517 po Chrystusie powoli przechodziło w chłodny wieczór, gdy młody augustianin z Wittenbergi zakończył formułowanie dokumentu złożonego z 95 punktów stanowiących, jego zdaniem, niezbędne kroki w reformie Kościoła Katolickiego. Zakonnik sporządził kilka kopii swojej listy i rozesłał je

do miejscowych hierarchów kościelnych, a także swojego przełożonego w zakonie. Późniejsza legenda przypisze mu dodatkowo przybicie jednego z egzemplarzy do drzwi wittenberskiego kościoła, co jednak najprawdopodobniej nie miało miejsca. Pewne jest natomiast, że ogłoszenie 95 tez Marcina Lutra – bo o nim mowa – przyniosło znacznie po-

ważniejsze skutki, niż ktokolwiek z jemu współczesnych się spodziewał i stało się jednym z przełomowych momentów historii świata. Dnia 31 października 1517 r. rozpoczęła się bowiem tzw. „reformacja”, która doprowadziła do odłączenia sporych grup wyznawców Chrystusa od Kościoła Świętego, a w szerszej perspektywie wywarła prze-

możny wpływ na duchowość i umysłowość mieszkańców Europy. Wpływ ten, jak się wkrótce przekonamy, jest widoczny w najważniejszych momentach historii ostatnich pięćset lat i trwa po dziś dzień.

Reformacja bez reformy

Podstawowy problem Marcina Lutra oraz pozostałych inicjatorów „reformacji” stanowił brak pokory. Samo zwrócenie uwagi na występujące wśród duchowieństwa katolickiego nadużycia nie było niczym złym, a potencjalnym owocem takiego wystąpienia mogło być uzdrowienie Kościoła z pewnych rozpowszechnionych zachowań. Lutrowi zabrakło jednak rozważności oraz opamiętania, skutkiem czego, górną nad troską o dobro Kościoła wzięty negatywne emocje i ambicja stanowiąc przywódcą religijnym. Wittenberski augustianin popełnił przy tym dwa podstawowe błędy: zaczął szukać sojuszników w swojej walce przeciw Kościołowi wśród przedstawicieli władz świeckich oraz przeszedł od piętnowania nadużyć duchowieństwa do atakowania doktryny Kościoła Katolickiego. Od tego momentu w zasadzie nie powinno się mówić o „reformacji”, ale odtępieniu. Luter, Kalwin, Zwingli ani inni „reformatorzy” nie wzięli bowiem udziału w procesie potrzebnej wówczas reformy Kościoła – tego dokonał dopiero sobór trydencki i następujący po nim papież, szczególnie św. Pius V.

Szukanie świeckiego wsparcia w wewnątrzkościelnych sporach nigdy nie było i nie będzie dobrym pomysłem. Nie jest tajemnicą, że interesy różnych grup wpływu rzadko kiedy są zgodne z troską o zbawienie dusz i głoszeniem prawdy o Bogu. Co więcej, historia pokazuje, że najbardziej chętni do mieszania się w wewnętrzne sprawy Kościoła są zwykle ci, którym najmniej zależy na Jego dobru, nawet jeśli głoszą przy tym wzniecone hasła. Interwencja takich osób prowadzi zawsze do eskalacji spo-



ru, a w konsekwencji do osłabienia ziemskiej siły Kościoła. Takie były przyczyny m.in. IV-wiecznego kryzysu związanego z arianizmem, schizmy wschodniej i zachodniej, a także współczesnego kryzysu Kościoła w wielu krajach będącego – co pokażemy później – pochodną „reformacji”. Luter i Melancton byli protegowanymi elektora saskiego Fryderyka III Wettyna, bez opieki którego prawdopodobnie nie odważyliby się zerwać z Kościołem. W dalszej kolejności „reformację” poparło wielu władców i książąt, w dużej mierze chętnych na zawłaszczenie kościelnych majątków czy wzmocnienie swojej pozycji kosztem Kościoła. Warto przypomnieć również Henryka VIII, który w szale „reformacji” utworzył własne wyznanie po to, żeby móc „legalnie” zmienić żonę.

Rozwój konfliktu z Kościołem, rozgrzewany udziałem ważnych sił politycznych XVI-wiecznej Europy musiał doprowadzić do odrzucenia przez „reforma-

torów” przynajmniej części Jego nauki i przedstawienia w zamian własnych przekonań. Marcin Luter, a za nim Zwingli, Kalwin, Henryk VIII i reszta „reformatorów” stworzyli własny system poglądów religijnych, odpowiadający interesom możliwych protektorów i wymierzony w Kościół. W ten sposób protestantyzm stał się ideologią – został środkiem do realizacji interesów konkretnej grupy wpływu, w opozycji do nauczania Kościoła mającego na celu doprowadzanie dusz do zbawienia. Podstawą protestantyzmu zostało odrzucenie Kościoła katolickiego, jako strażnika prawdy o Bogu, co zostało wyrażone w zasadzie „sola scriptura” – tylko Pismo. Dla protestantów podstawową wykładnią wiary była samodzielna interpretacja Pisma Świętego, co musiało doprowadzić do pogłębiania różnic doktrynalnych i powstawania mnóstwa odłamów. Nieuznawanie nauczycielskiego urzędu Kościoła było też jednoznaczne z odrzuceniem zwierzchności papieża. W wizji protestantów nie

znalazło się miejsce na silny, instytucjonalny Kościół stojący na straży wiary i moralności, co było naturalnie wygodne dla przynajmniej części władców europejskich. Kolejny relatywistyczny postulat został zawarty w hasłach „sola fide” i „sola gratia” (tylko wiara, tylko łaska). Według protestantów zbawienie jest tylko i wyłącznie skutkiem Bożej łaski, a usprawiedliwienie przynosi sama wiara – żadnego znaczenia nie mają uczynki, można więc robić, co się chce. Z kolei wiara na mocy „sola scriptura” jest kwestią indywidualną, więc tak naprawdę człowiek nie ma wpływu na swoje zbawienie. Co więcej, według protestantów ludzie są z natury źli i jeśli pełnią dobre uczynki, to tylko dzięki wierze (przypomnijmy – niezdefiniowanej).

Konkretny interes określonej grupy

Dlaczego – i czy w ogóle – można uznać protestantyzm za ideologię? Jak pokazaliśmy wyżej, ruch „reformacyjny” był wielokrotnie wykorzystywany przez polityków różnych epok do uzyskania wymiernych korzyści, idących w parze z osłabieniem potęgi Kościoła Katolickiego. Rozwój kryzysu spowodowanego „reformacją” nie byłby możliwy bez poparcia konkretnych grup wpływu, co z kolei jest możliwe dzięki przewartościowaniu, jakiego dokonał protestantyzm. Teologia protestancka stawiała w centrum człowieka, a nie – jak filozofia katolicka – Boga. To człowiek, w myśl zasady „sola scriptura”, miał ustalać – według własnych upodobań i interpretacji – prawdy wiary oraz zasady moralne. Prowadziło to oczywiście do relatywizmu – w protestantyzmie nie ma miejsca na obiektywną prawdę o Bogu, gdyż dla każdego jest ona czym innym. Protestantyzm jako taki nie tworzy, więc systemu filozoficznego ani religii – nie zawiera bowiem jednolitej, całościowej wizji świata.

Niekonstruktywność protestantyzmu jest zresztą konsekwencją jego założeń początkowych. Idee „reformacyjne” nie powstawały wszak jako nowa, kompletna wizja świata, ale w opozycji do zasad Kościoła. Budowanie na sprzeciwie to czynnik wspólny większości ideologii. Społeczny kapitał, uzyskany dzięki publicznemu zwróceniu uwagi na faktyczne błędy i nadużycia, bywa często wykorzystany w nieodpowiedzialny sposób – do stworzenia siły rewolucyjnej, niszczącej wraz z wspomnianymi niedostatkami również mocne strony istniejącego porządku. W połączeniu z ustawieniem człowieka w centrum uwagi doprowadziło to do eskalacji wrogości na linii protestanci-Kościół. Kościół Katolicki za swojego jedyne go wroga uznaje szatana, podczas gdy wszyscy ludzie są godni szacunku z racji posiadania godności dziecka Bożego, stworzonego na Jego obraz i podobieństwo. Miłość do drugiego człowieka polega na pomaganiu mu w dotarciu do Boga poprzez Kościół posiadający pełnię prawdy o Nim. „Miłować bliźniego, nienawidzić jego błędu” – to zasada św. Augustyna, będąca istotnym punktem nauczania Kościoła katolickiego, nawet jeśli wiele spośród jego synów i córek ma problem z jej przestrzeganiem. Doktryna protestancka, budowana na sprzeciwie wobec Kościoła, siłą rzeczy uznaje katolików za wrogów. Ta niechęć stała się przyczyną wielu krwawych wojen religijnych.

Budowa w oparciu o sprzeciw prowadzi do jeszcze jednego zachowania charakterystycznego dla ideologii – dopasowywania faktów do nauczania zamiast nauczania do faktów. Kościół Katolicki tworzył i tworzy swoją doktrynę w oparciu o dogłębną analizę Bożego Objawienia – Pisma Świętego i otaczającego świata – oraz badania filozoficzno-logiczne. Poszczególne punkty doktryny protestanckiej (a właściwie wielu różnych doktryn) powstawały w opozycji do

punktów nauczania Kościoła. Nie jest również tajemnicą, że uzyskanie pozornej spójności doktryny wymagało jej sztucznego naginania. Najlepszym przykładem jest uszczuplenie przez Lutra kanonu Pisma Świętego o księgi negujące... zasadę „sola scriptura”. Niespójność protestantyzmu prowadziła nie tylko do powstania jego licznych odłamów, ale także – o czym rzadko się wspomina – znacznie częstszych i brutalniejszych przejawów fanatyzmu, niż miało to miejsce wśród katolików. We wspólnotach protestanckich brakowało instytucji na wzór katolickiej Inkwizycji, zapewniającej innowiercom ochronę przed samosądami, toteż znacznie częściej dochodziło w nich do palenia „czarownic” na stosie czy innych form linczu. Na rozwój zjawiska wpływał również fakt istnienia wielu odmiennych doktryn protestanckich, chociaż nie da się ukryć, że największą niechęcią protestanci różnych odłamów darzyli zazwyczaj Kościół Katolicki.

500 lat ciężkiej historii

Protestantyzm odrywał ludzi od Kościoła, nie proponując im niczego w zamian. Wierni wspólnot protestanckich nie mieli ani przekonania o słuszności wyznawanej wiary – ponieważ każdy mógł wierzyć w co innego – ani kontaktu z rzeczywistością nadprzyrodzoną poprzez mszę świętą, ani mocy zawartej w sakramentach, ani wreszcie pośredników przed Bogiem, czyli świętych, na czele z Matką Bożą. Powodowało to stopniowy spadek zaufania wobec reformacyjnej teologii oraz erozję religijności po epoce wojen religijnych w krajach zachodniej Europy. W ten sposób powstał grunt pod rozwój oświeceniowych teorii odrzucających lub podających w wątpliwość samo istnienie Boga – agnostycyzm, deizm, ateizm itp. Co ciekawe, oświeceniowi filozofowie (jak np. Kant, Voltaire, Hume, Locke) znacznie częściej i zjadlej atakowali nauczanie Kościoła Katolickiego niż protestantyzm, pomimo



iz z pozycji wyznawanych przez nich poglądów znacznie łatwiej było skrytykować światopogląd protestancki. Jest to dowód na antyklerykalizm głównych przedstawicieli filozofii oświeceniowej, który znalazł swój tragiczny finał w rewolucji francuskiej. Część antykatolickich działań rewolucjonistów – takich jak podporządkowanie Kościoła państwu poprzez konieczność składania przysięgi na konstytucję czy odbieranie Kościołowi dóbr ziemskich – była zresztą tożsama z postulatami pionierów „reformacji”.

Po rewolucji francuskiej „nowoczesny”, laicko-liberalny porządek zapanał w całej zachodniej Europie. Pogłębiło to intelektualną erozję i umożliwiło rozwój szkodliwych prądów, takich jak libertynizm, utylitaryzm czy egalitaryzm. Szczególnie „protestancki” charakter miał ten ostatni, dążący do zrównania wszystkich ludzi i zniesienia wszelkich form hierarchii. Grunt pod rozwój egalitaryzmu położył rzecz jasna Luter, stawiając człowieka w miejscu Boga i negując rolę autorytetu. Jest szczególnie znamienne, że najgroźniejsza pochodna

egalitaryzmu – socjalizm, który wkrótce ewoluował w komunizm – powstała w tym samym kraju, w którym ponad 300 lat wcześniej działał Marcin Luter – w Niemczech. Popularność, jaką koncepcje Marksa i Engelsa zdobyły w ojczyźnie Lutra dobitnie pokazuje, do jakiego upadku intelektualno-duchowego dochodziło w narodach, które gremialnie odrzucały więź z Kościołem. Zrównanie wszystkich ludzi pod względem ekonomicznym (czytaj: okradanie bogatszych, bardziej zaradnych obywateli), przedstawianie dziejów ludzkości jako walki klas czy nacjonalizacja wszystkiego, co się da – te skrajne koncepcje nie przebiłyby się, gdyby nie odrzucenie błogosławionej roztropności Kościoła wskutek „reformacji”. Nie jest zresztą przypadkiem, że XVI-wieczne powstanie chłopskie pod dowództwem gorącego zwolennika Lutra, Thomasa Müntzera, było często przywoływane jako przykład w pracach Marksa i Engelsa.

Pisząc o socjalizmie, szczególnie w Niemczech, nie sposób nie wspomnieć o jego najbardziej zbrodniczej formie – narodowym socjalizmie, „wzbogaconym” niemieckim szowinizmem narodo-

wym, a wręcz rasizmem. Podstawą pseudonaukowych koncepcji o wyższości rasy niemieckiej była protestancka teoria predestynacji, przekształcona następnie w volkizm, głoszący istnienie duszy człowieka jako części większej duszy narodu, kształtowanej przez okoliczności historyczne. Różne cechy dusz poszczególnych narodów miały skutkować wyższością jednych nad innymi, przy czym rasą panów byli Niemcy, a gorszym gatunkiem ludzi m.in. Żydzi oraz Słowianie. Związek volkizmu z protestantyzmem jest zresztą głębszy niż się to może wydawać, gdyż – jak powszechnie wiadomo – sam Marcin Luter był antysemitą (zachęcał m.in. do palenia synagog i nakładania na Żydów przymusowej pracy – czy to nie brzmi znajomo?), a Słowian uważał za najgorszy ze wszystkich ludów. W XIX wieku niemiecki volkizm zaczął się przeradzać w otwarty rasizm, który w połączeniu z koncepcjami socjalizmu stał się podwaliną nazizmu. Tym torem poszła również część ideologów protestantyzmu, jak Ernst Bergmann, według którego Jezus był w rzeczywistości Aryjczykiem, a nowym mesjaszem był Adolf Hitler. Rzut oka na mapę wy-

borczą przedwojennych Niemiec pozwala stwierdzić, że NSDAP została wybrana głównie głosami z ziem zamieszkiwanych przez większość protestancką, podczas gdy w rejonach bardziej katolickich otrzymała znikome poparcie. W tym kontekście nie dziwi postawa luterańskiego duchowieństwa, którego kilka tysięcy przedstawicieli należało do organizacji pronazistowskich, takich jak „Chrześcijanie Niemieccy”. Nie trzeba chyba dodawać, że grupą szczególnie – obok Żydów – prześladowaną przez Niemców w czasach III Rzeszy byli katolicy, a zwłaszcza osoby duchowne.

Quo vadis, Europa?

Destrukcyjny wpływ protestantyzmu na duchowość i umysłowość zachodu nie ustał ani w momencie zakończenia II wojny światowej, ani upadku żelaznej kurtyny. Po epoce ideologii jawnie zbrodniczych przyszedł czas ideologii opartych o te same podstawy intelektualne, ale ukrywających niesione ze sobą zagrożenia pod płaszczykiem pojęć budzących pozytywne skojarzenia – nowoczesności, postępu, tolerancji, równości etc. Wciąż żywy libertynizm przyniósł w latach 60' XX w. rewolucję obyczajową, która umożliwiła rozwój ideologii gender promującej różnorodność dewiacji w imię złe pojętej „wolności” i „tolerancji”. Rozwiązłość obyczajowa stworzyła grunt pod rozwój zupełnie nie logicznych ideologii feminizmu, ekologizmu czy kolejnych form darwinizmu społecznego, w którym miejsce Żydów i Słowian – jako podludzi zasługujących na śmierć – zajęły nienarodzone dzieci oraz osoby obłożnie chore. Zachód, który wskutek odejścia od Kościoła oddalił się również od Boga, przyjął w Jego miejsce inne „bożki” – poprawność polityczną, demokrację czy „tolerancję” (czytaj: obojętność). Wywodząca się z protestantyzmu neutralność światopoglądowa przerodziła się w postawę akceptowania dowolnej skrajności przy jednoczesnym bezwzględnym

zwalczaniu sprzeciwiających się temu konserwatystów. Pograżona w szaleństwo przyzwolenia na wszystko Europa otworzyła się w końcu na zagrożenie, które już kilkakrotnie w historii niemal doprowadziło do jej zniszczenia – islam. Szczególnie smutnym faktem jest protestantyzacja niektórych środowisk wewnątrz Kościoła Katolickiego, czego skutkiem są m.in. modernistyczne tendencje, obecne nawet wśród wysoko postawionych hierarchów i powodująca zamęt wśród wiernych oraz relatywizowanie podstawowych prawd wiary.

Na obecnym etapie tej trudnej, pięćsetletniej historii można zadać sobie pytanie: jak wyglądałaby współczesna Europa i świat, gdyby nie wystąpienie Marcina Lutra z 1517 r.? Czy oderwanie sporej części wiernych od Kościoła dokonałoby się tak czy inaczej, czy może Winnica Pańska byłaby dziś znacznie liczniejsza i, w sensie doczesnym, potężniejsza? Czy rozwój intelektualny ludzkości poszedłby innymi torami, prowadząc do dominacji moralności chrześcijańskiej promującej pokorę, miłość bliźniego i prawdę? Czy wreszcie nie doczekalibyśmy się rozwoju szkodliwych ideologii, koszmaru wojen religijnych, holocaustu i komunistycznego reżimu? Tego nie wie nikt – „reformacja” nie była wszakże jedynym kryzysem Kościoła w trwającej od dwudziestu wieków historii jego istnienia. Stała się jednak wydarzeniem o szczególnym znaczeniu, co łatwo dostrzec przy całościowym spojrzeniu na historię ataków na Kościół, jako procesu, a nie serii niezwiązanych incydentów. Zauważymy wówczas, że protestantyzm sporo czerpał z herezji czasów starożytnych (w tym szczególnie groźnego arianizmu) oraz był sygnalizowany przez ruchy prerreformacyjne (albigensi, waldensi, husytyzm, Wicliff). Jednak dopiero „reformacja” zdołała zniszczyć średniowieczną europejską „Christianitas”, cywilizację budowaną w oparciu o zasady Ewangelii i moźolnie – choć nie

bez potknięć – rozwijaną w oparciu o zasady katolickie. Jej obalenie spowodowało nieopanowany po dziś dzień zamęt – zarówno intelektualny, jak i moralny – w którego odmętach zrodziły się zbrodnicze ideologie, a do głosu doszła obłuda i relatywizm.

Siłą rzeczy przedstawione lub zasygnalizowane w niniejszym tekście relacje nie są wyjaśnione dogłębnie. Ukazanie ich ze szczegółami, na odpowiednio szerokim tle historycznym byłoby niemożliwe nawet w dziesięciokrotnie dłuższym artykule, dlatego autor gorąco zachęca czytelników do poszerzenia wiedzy w oparciu o bardziej profesjonalne źródła. Jeszcze bardziej nawołuje jednak do modlitwy – za Kościół Święty, papieża i duchowieństwo, a także osoby pozostające w odłączeniu od Kościoła lub wręcz go zwalczające. Modlitwa oraz postawa szacunku i miłości wobec bliźniego – przy jednoczesnym braku akceptacji wobec błędów i zła – to droga, którą wszyscy powinniśmy podążać w myśl zawołania św. Pawła: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj!” (Rz 12,21). Troska o dobro Kościoła powinna być wolna od rozpacz. Kościół Katolicki nie upadnie, jak to zapowiedział sam Jezus w słowach: „Na tej skałce zbuduję mój Kościół, a bramy piekielne go nie przemogą” (Mt 16,18). Niech słowa naszego Zbawiciela umacniają nas w wierze, że Kościół Katolicki przetrwa również obecny – nie pierwszy przecież w swojej historii – kryzys i wyjdzie z niego jeszcze silniejszy i bardziej zjednoczony niż przedtem.

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

konrad.myszkowski@adeste.eu

Zrozumieć siebie nawzajem. Działania ekumeniczne pomiędzy katolikami i protestantami w czasach współczesnych.



Katarzyna Bigaj

500 lecie reformacji – to dobry czas, aby podsumować starania zarówno strony katolickiej, jak i protestanckiej w celu pełnego zjednoczenia na wzór słów św. Pawła: „A przeto upominam was, bracia, w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, abyście byli zgodni, i by nie było wśród was rozłamów; byście byli jednego ducha i jednej myśli” (1 Kor, 1.10). Obecnie nie mamy pojęcia, czy kiedykolwiek do tego dojdzie. Jedno jest pewne – jeszcze nigdy nie byliśmy sobie tak bliscy, jak teraz.

1. Czym jest dla nas ekumenizm?

Sam fakt, że Kościół Katolicki podejmuje działania ekumeniczne, nie jest taki oczywisty. Przykładowo, świadkowie Jehowy uznają, że tylko oni są prawdziwie wierni wierze i nie chcą jej skałać szatańskimi zwodzeniami. Na poparcie swojej tezy używają fragmentu drugiego listu do Koryntian: „Nie wprzegajcie się z niewierzącymi w jedno jarzmo. Cóż bowiem na wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością? Albo jakąż jest wspólnota Chrystusa z Beliarem lub wierzącego z niewiernym? Co wreszcie łączy świątynię Boga z bożkami?” (2 Kor 6,14-16). Zostaliśmy bardzo brutalnie potraktowani: jako niewierzący, niesprawiedliwi i niewierni. Jak jednak my zapatrujemy się na odłączonych braci w wierze? Katechizm Kościoła Katolickiego powtarza za dekretem Soboru Watykańskiego II „Unitatis redintegratio”: „Tych, którzy rodzą się dzisiaj



we wspólnotach powstałych na skutek rozłamów i »przepajają się wiarą w Chrystusa, nie można obwiniać o grzech odłączenia. A Kościół katolicki otacza ich braterskim szacunkiem i miłością... Usprawiedliwieni z wiary przez chrzest należą do Ciała Chrystusa, dlatego też zdobi ich należne im imię chrześcijańskie, a synowie Kościoła katolickiego słusznie ich uważają za braci w Panu» (KKK 818). Katechizm podaje też konkretne środki mające na celu spełnienie „pragnienia ponownego odnalezienia jedności wszystkich chrześcijan”: stała odnowa Kościoła w coraz większej wierności jego powołaniu, nawrócenie serca, wspólna modlitwa, wzajemne poznanie braterskie, formacja ekumeniczna, dialog między teologami i spotkania między chrze-

ścijanami różnych Kościołów i wspólnot oraz współpraca między chrześcijanami w różnych dziedzinach służby ludziom (KKK 821). Jednak to nie Kościół Katolicki zapoczątkował ruch ekumeniczny.

2. Początki ruchu ekumenicznego

Ruch ekumeniczny, mający na celu zjednoczenie chrześcijan, ma swoje korzenie w XIX w., chociaż pełnego rozpędu nabrał dopiero z początkiem XX w. – powstała wtedy Międzynarodowa Rada Misyjna, Komisja Wiara i Ustrój Kościoła oraz Komisja Praktyczne Chrześcijaństwo. Każda z nich reprezentowała inny nurt ekumenizmu – odpowiednio misyjny, doktrynalny i praktyczny. O ile cele dwóch pierw-



szych są dość jasne, o tyle trzeci dążył stricte do uświadomienia chrześcijanom potrzeby pokojowego rozwiązania konfliktów na tle religijnym. Każdy z tych nurtów na swój sposób się uzupełniał. W pracę komisji angażowali się przedstawiciele anglikanów, protestantów, prawosławnych i starokatolików. Brakowało bardzo ważnego uczestnika podejmowanych działań, mianowicie członków Kościoła Katolickiego. Papież stał na stanowisku, że jedynym sposobem na jedność chrześcijan jest nawrócenie się na świętą wiarę katolicką. Encyklika „*Mortalium animos*” papieża Piusa XI wprost mówiła, że ekumenizm negatywnie wpływa na wiarę, przede wszystkim

pozwalając na wdrożenie idei panchryścianizmu, czyli relatywizowania prawd wiary. Gdy w połowie wieku XX powołano Światową Radę Kościołów, Kościół Katolicki głosem Świętego Oficjum ciągle nie pozwalał na udział w ich pracach. Zresztą patriarcha moskiewski również nie wspierał działań ekumenicznych. Jedyne Patriarchat Konstantynopolski i Grecki Kościół Prawosławny wysłał do komisji małą grupę reprezentantów.

3. Sobór Watykański II

Wszystko zmieniło się z nadejściem pontyfikatu Jana XXIII, a wraz z nim Soboru Watykańskiego II.

Wyrażniewidaćto wdekrecie „*Unitatis redintegratio*” poświęconym w całości sprawom ekumenizmu, a rozpoczynającym się od zdania: „Jednym z zasadniczych zamierzeń Drugiego Watykańskiego Świętego Soboru Powszechnego jest wzmożenie wysiłków do przywrócenia jedności wśród wszystkich chrześcijan”. To bardzo mocne słowa, napawające w tamtych dniach nadzieją na przyszłość. W 1960 roku powołano do życia Sekretariat ds. Jedności Chrześcijan, znany dzisiaj pod nazwą Papieskiej Rady ds. Popierania Jedności Chrześcijan. Miał on prosty cel – zajmować się dialogiem z chrześcijanami nierzymskokatolickimi. Od tej pory ekumenizm w Kościele Katolickim radykalnie zmienił swój kierunek, co do dzisiaj wywołuje kontrowersje wśród niektórych tradycjonalistów, których duchowość zakorzeniona jest w nurcie przedsoborowym. Część z nich akceptuje ten ruch, zauważając, że w rozumieniu KKK ekumenizm to „powrót do Kościoła katolickiego wszystkich heretyków i schizmatyków, bo tylko Kościół katolicki daje zbawienie”. Istotnie, Kościół Katolicki nie dąży do panchryścianizmu – pragnie jednak zgłębić doktrynalne podstawy niekatolickich prawd wiary i znaleźć w nich wspólny mianownik. To zrozumienie jest kluczowe, gdyż tylko wtedy, gdy je osiągniemy, jesteśmy w stanie traktować naszych odłączonych braci w wierze nie jako oponentów, ale jako „usprawiedliwionych z wiary przez chrzest należących do Ciała Chrystusa”.

W części drugiej zajmiemy się tym, co udało się wypracować w ramach wspólnego dialogu katolików z protestantami.

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

katarzyna.bigaj@adeste.eu



500 lat reformacji – okazja do świętowania czy zadumy?



Piotr Władysław Sudół

500 lat temu pewien niemiecki augustinianin przybił swoje tezy do drzwi wittenberskiej katedry. Od tego zaczął się największy rozłam w historii Kościoła. Od jednego mnicha i jego arkusza pergaminu z wypisanymi тезami rozpoczęła się reformacja. Jedni uważają, że to była konieczność. Inni twierdzą, że była czymś kompletnie niepotrzebnym i wynikającym z pychy Marcina Lutra. Protestanci świętują, a wśród katolików zdania są podzielone. Niektóre osoby Kościoła świętują w ramach „ekumenizmu”. Jednak w kwestii tego świętowania warto przypomnieć sobie, co mówił abp Jędraszewski. Stwierdził, że nie ma zamiaru świętować rocznicy jednego z najtragiczniejszych wydarzeń w Kościele, może co najwyżej uczcić to, że w Polsce obyło się bez krwawych walk z powodu różnic religijnych. Tak, to się naprawdę dzieje. Niektórzy katolicy świętują 500 lat reformacji. Dlaczego? Jaki jest tego cel? Czy nie widzą, że to reformacji zawdzięczamy liczne wojny religijne? Nie widzą, że przez protestantyzm tyle ludzi odeszło od Kościoła katolickiego? Niech każdy z nas zada sobie bardzo poważne pytanie – czy z okazji pięciuset lat reformacji powinniśmy się cieszyć, czy może smucić?

Reforma(cja) życia

Ruch Marcina Lutra podzielił Europę bardzo szybko. Za mnichem poszli głównie książęta niemieccy z północnej części kraju, a zwłaszcza Fryderyk Mądry, który udzielił mu azylu. Jednak najprędzej na wielką po-

tęgę luterzańską wyrosło Królestwo Szwecji. Bowiem w latach dwudziestych XVI wieku Gustaw I Waza zerwał unię kalmarską i przywrócił suwerenność Szwecji. Jego państwo borykało się jednak z problemami finansowymi. Szybko znalazł na to sposób – przeszedł na luteranizm i za-

brał gigantyczne majątki Kościoła – świątynie, ziemie. Później ta tradycja cały czas trzymała się narodu szwedzkiego – liczne grabieże kościołów miały swoje źródło właśnie w doktrynie luterńskiej – grabiono wszystko co się dało z kościołów, uważało się bowiem, że kościół powinien być

skromny. I rzeczywiście, po przejściu armii szwedzkiej każdy kościół był skromny. W Niemczech jeden z reformatorów – anabaptysta Thomas Müntzer – stanął na czele powstania chłopskiego, które w swoich postulatach propagowało zbędność księży, bo według nauk Thomasa najważniejsze było natchnienie Ducha Świętego. Oprócz tego, powstańcy siłą próbowali wyrwać jakąkolwiek władzę Kościołowi i feudałom. Jak wynika z historii – widać, jak niszczycielska jest pycha.

Nieuniknionym skutkiem reformacji musiała być wzmożona działalność inkwizycji, która i tak już cieszyła się złą sławą. O dziwo jednak to w krajach objętych reformacją bywało więcej ofiar. Nie bez powodu jest tak wielu męczenników reformacji – choćby św. Tomasz Morus. Smutne jest to, że wyznania chrześcijańskie walczyły ze sobą krwawo i bezlitośnie, nie tak jak mówi Ewangelia – nie szukały zgody. Wojny i prześladowania zrobiły złą famę całemu światu chrześcijańskiemu. Jednym z niewielu krajów wolnych od nietolerancji religijnej była Polska, ale nawet tutaj walka się odbywała, ale nie tak zaciekle. Zygmunt Wojciechowski w swojej książce historiograficznej Zygmunt Stary opisuje problemy z drobnymi ruchami protestanckimi, które miały miejsce w Gdańsku. Nawet drobne zamieszki kilkusobowe prawie zawsze kończyły się dotkliwymi krzywdami księży katolickich. Przykra to prawda historyczna, ale tak rzeczywiście było – często rodacy walczyli ze sobą, mimo iż wierzyli w tego samego Boga.

Winnym miejscem w Europie – w Holandii – reformacja była jedną z przyczyn tzw. wojny osiemdziesięcioletniej. Bardzo katolickie imperium Habsburgów dotkliwie odczuło bunt w bogatych krajach niderlandzkich. Powstańcy dokonywali wielu okrucieństw, między innymi mordów na kapłanach (Dobrze opisuje to Louis de Wohl w książce Ostat-

ni Krzyżowiec). Oprócz tego poważnym problemem teologicznym był fakt, że kalwini, którzy znajdowali się na terenie Belgii i Holandii, popierali herezję ikonoklazmu. Spowodowało to ogromne straty w architekturze i sztuce – kalwini nie oszczędzali wspaniałych dzieł w imię fanatycznej nienawiści ikonoklastycznej. Różnice religijne tylko pogłębiły spory między władzami habsburskimi a ludnością niderlandzką. Doprowadziło to pośrednio do wybuchu w 1568 roku wojny osiemdziesięcioletniej zakończonej zwycięstwem suwerenności przez Republikę Siedmiu Zjednoczonych Prowincji Niderlandzkich.

Nie bezpośrednio związane z nowym ruchem religijnym były przemiany w Królestwie Anglii – Henryk VIII jednoznacznie zerwał swoje stosunki z Rzymem. Powód był ściśle powiązany z szóstym przykazaniem – lubieżny Henryk w gniewie za to, że papież nie unieważnił jego kolejnego małżeństwa powiedział stanowcze „NIE” papieżowi. Kościół anglikański trwa niestety do tej pory, ale pewne grupy anglikanów udało się już w XXI wieku przywrócić na łono Świętej Matki Kościoła.

Skromne wnioski historyczne

Z samego zarysu historycznego widzimy, że reformacja przyniosła kuriozalne skutki – wojny, bunt, powstania, spory. W opinii niektórych jedynym pozytywnym skutkiem reformacji było oswobodzenie księstw niemieckich spod twardej ręki cesarza Austrii. Oprócz tego ruch protestancki doprowadził do znacznej zmiany układu sił w Europie w ciągu 100 lat. Gwarantem pokoju westfalskiego była sympatyzująca z luteranскими państwami Francja (na przekór Austrii) i największe mocarstwo luteranckie ówczesnych dziejów – Szwecja. Monarchie habsburskie utraciły pośrednio przez reformację swoje wpływy w krajach niderlandzkich, a same, wykończone wojną, znacząco opadły na arenie

europejskiej. Oficjalnie neutralna wobec tych wydarzeń pozostała Rzeczypospolita. Co prawda Zygmunt Stary próbował przeciwstawić się ruchom reformatorskim, ale z miernym skutkiem.

Pan z największego zła wyciąga dobro – w przypadku reformacji stała się ona motorem napędowym dla św. Ignacego Loyoli SJ który utworzył zakon jezuitów – jeden z najpotężniejszych zakonów w Kościele, a do kasaty obok dominikanów i franciszkanów główny filar Kościoła w Europie i koloniach.

Wybitne polskie postacie kontrreformacji takie jak Piotr Skarga czy Stanisław Hozjusz, obecnie Słudzy Boży, starali się o to, żeby jak najbardziej ograniczyć wpływy protestanckie, ale również im to się nie udało – szlachta dalej zmieniała swoje poglądy religijne z powodu ziemskich korzyści.

Skutki duchowe i spojrzenie na Lutra

To bardzo widoczny skutek duchowy – kiedy pojawiają się możliwości łatwiejsze, mniej wymagające, przyjemniejsze, człowiek od razu się rzuca w ich wir. Smutnym skutkiem rozłamu w kościele były dalsze rozłamy – już nie kilka, ale kilkanaście różnych kościołów protestanckich, z których każdy głosi inną naukę. Do tego właśnie prowadzi niezgoda w Kościele – rodzi rozłamy, a te zamiast miłości pogłębiają nienawiść. Zamiast jedności rodzą się podziały.

Spojrzymy jednak na samego twórcę ruchu reformacji, Marcina Lutra. Wydawałoby się na pierwszy rzut oka, że to człowiek o dobrych intencjach, który – patrząc jedynie na dobro Kościoła – chciał go naprawić. Jednak, jak wiadomo, piekło wybrukowane jest dobrymi intencjami. Kościół już na Soborze Laterańskim IV postanowił zwalczać to, co krytykowały ruchy protestanckie – handel relikwiami czy odpustami. Co zgubiło tego augustianina? Brak pokory i posłuszeństwa. Chcac



źródło: www.bbe.co.uk

zreformować Kościół każdy powinien zacząć od siebie. Marciniowi Lutrowi tych cnót zabrakło. Postanowił stworzyć własny Kościół. W przeciwieństwie do tylu świętych katolickich, którzy zmienili oblicze Kościoła: Katarzyny Sieneńskiej, Franciszka z Asyżu czy Ignacego Loyoli, Lutrowi zabrakło pokornego serca.

Powstanie nowego Kościoła do tej pory jest zastanawiające, stawia bowiem pod znakiem zapytania słowa Pana Jezusa mówiące o tym, że ześle Pocieszyciela, który wszystkiego nauczy Kościół Boży. W tym przypadku można się zastanowić: skoro Pan Jezus zadbał o to, żeby nauka Kościoła była czysta i prawdziwa, to czemu ktoś próbuje wywracać wszystko do góry nogami 1500 lat po Jego śmierci i zmartwychwstaniu? To, co zrobił Marcin Luter, jest zamachem na posłuszeństwo Kościołowi i kompletnym brakiem pokory. Myślał, że on sam będzie wiedział lepiej. Zapomniał, że bramy piekielne

nie przemogą Kościoła. Stworzył własny. W teologii katolickiej fachowo twórców protestanckich nie nazywa się nawet kościołami partykularnymi, ponieważ zgodnie z eklezjologią nie mają prawdziwej doktryny Eucharystii ani sukcesji apostoelskiej. Mimo wszystko protestanci nadal mogą być zbawieni, ale POMIMO swoich błędów, a nie w nich.

Dla mnie osobiście najbardziej poruszającym skutkiem reformacji, który odbił się w protestantyzmie, jest zanik sakramentu pokuty. Nie wyobrażam sobie, jak przy takiej ilości cudów serca, jakie miały miejsca w konfesjonale, można nie uznawać tego sakramentu. Przy całej ilości dusz wyleczonych przez sakrament pokuty jest to co najmniej niegodne i podchodzące pod bluźniercze. Przecież sam Pan Jezus dał władzę odpuszczania grzechów (J 20,22-23) Apostołom. Wbrew temu niektórzy twierdzą, że przecież chodzi o to odpuszczanie grzechów ujęte w Modlitwie Pańskiej. Czyżby? Wynikałoby

z takiego założenia, że najpierw Pan nauczył uczniów modlitwy, w której jest mowa o „odpuszczeniu grzechów”, a dopiero później dał im moc odpuszczania? Czyli w czasie między tymi dwoma wydarzeniami ich działania były teoretycznie bez sensu. Pan Bóg nigdy nie działa sprzecznie z rozumem. Sakrament pokuty to nie narzędzie inwigilacji, to nie wymysł starszych panów w czarnych sukniach, sakrament pokuty to nowe życie dla duszy splamionej grzechem, to ponowne przyjście do Dobrego Pasterza, to przeproszenie Boga, to Jego przebaczenie. Czyż można stwierdzić, że pokuta nie jest sakramentem, kiedy widzi się łzy grzesznika przed spowiedzią i radość w oczach po niej? Ilość łask wyświadczonych przez sakrament pokuty jest wystarczającym świadectwem tego, jak wielki on jest.

Nie bójmy się sobie tego powiedzieć, ale pewne osoby Kościoła również zawiniły temu,

co się wydarzyło w 1517. Leon X mógł rozegrać tę partię na kilka innych sposobów np. podając dysputę, w której wykazałby brak słuszności tez Lutra. Ale szatan zawsze kusi, zawsze szuka podstępów. Leon X nie wykonał wszystkiego, przez co mógłby wygrać z ruchem Lutra. Z tego wyłania się dla nas gorzka, ale brutalnie prawdziwa prawda duchowa – Kościół jako mistyczne Ciało Chrystusa jest święty, ale my jako ludzie jesteśmy słabi, błądzimy. Jedynie jako Kościół jesteśmy czymś więcej. Jako jednostki możemy sobie nie poradzić. I nawet w Kościele Bożym kryje się zawsze słabość. Nawet w samym sercu Kościoła szatan czeka z pokusami i swoimi zamiarami niszczenia Kościoła. Ale jednak nawet mimo protestantyzmu jedyny i prawdziwy Kościół trwa nadal. Mimo naszych błędów, mimo naszych upadków, mimo naszych złych wyborów, mimo sporów, wojen, Kościół trwa nadal. My jesteśmy Kościołem.

W teologii

Protestantyzm znacząco wpłynął na same nurty teologiczne – w średniowieczu dominowała scholastyka skupiająca się głównie na logicznym i rozumowym tłumaczeniu wiary, korzystając z dzieł pisarzy wczesnochrześcijańskich czy filozofów pogańskich (Arystoteles, Platon). Protestantyzm spowodował znaczne zmiany – zaczęto zwracać większą uwagę na Pismo. Ale to nie jedyna konsekwencja. Przez sola fides rola rozumu znacząco zmalała w filozofii krajów protestanckich. W niektórych, radykalnych przypadkach zamieniało się to w fideizm. Kontrą na tego typu myślenie są przede wszystkim dzieła św. Jana od Krzyża, który doskonale tłumaczy, jak rosnąć w wierze bez pomniejszania wagi rozumu. Poza tym święty wyjaśnia na czym polega rola obrazów we wzbudzaniu pobożności, walcząc w ten sposób z ikonoklazmem. Jego dzieła powstały w słusznej epoce – protestantyzm (zwłaszcza odłamy kalwiń-

skie) zreinterpretował pierwsze przykazanie na radykalny sposób – i przyczyniły się do lepszej obrony doktryny katolickiej. Sam ikonoklazm natomiast był bardzo niszczycielski dla kościołów – przykładowi kalwini jak już wspomniano niszczyli wszystkie dzieła w świątyniach, mimo iż były one cenne dla sztuki i miały pewien pożytek w życiu duchowym. Obrazy bowiem wzbudzają w nas pewne poruszenia serca skłaniające do pobożności, ale wielbimy tego, kogo przedstawiają, a nie obraz dla samego obrazu (ikonolatria).

Jako ciekawostkę można zauważyć, że za prekursorów reformacji uważani są m.in. John Wycliffe – duchowny związany z lollardami, autor tłumaczenia Biblii na angielski. Pragnął reformy Kościoła za pomocą autorytetu Pisma, krytykował w teologii substancjalną (istotową) obecność Pana w Eucharystii, w końcu sprzeciwiał się władzy papieskiej. Ostatecznie Kościół ekskomunikował go, spalił i pochował w niepoświęconej ziemi. Jak widać, pewne zapędy reformatorskie istniały wcześniej w Europie. W Anglii oprócz Wycliffe wyrósł inny teolog o równie dziwnych poglądach – William Ockham, franciszkanin, twórca tzw. brzytwy Ockhama. Brzytwa mówi, że z dwóch rozwiązań zwykle to prostsze jest lepsze. Niestety, Ockham opracował tę prawdę dla teologii, chcąc z niej stworzyć zamiast pięknej mistycznej wiedzy zwykły rachunek zdań. Poza tym kuriozalne okazały się jego tezy o woluntaryzmie – twierdził, że Pan Bóg w swojej wolności może uczynić dosłownie wszystko, nawet jeżeli jest to sprzeczne z tym, co rzeczywiście uczynił. Poglądy Ockhama były zbliżone do islamskiej wizji woli Bożej. Luter ze scholastyków akceptował tylko Ockhama, co miało konsekwencje w naukach reformacyjnych. Oprócz Ockhama i Wycliffe był jeszcze jeden człowiek, który poprzedził epokę reformacji – Jan Hus. Krytykował tak ważną w teologii katolickiej transsubstancjację czy też



sakrament pokuty. Mimo pewnego poparcia ze strony czeskiej ostatecznie został spalony na stosie 6 lipca 1415 roku podczas soboru w Konstancji. Dokonało się to mimo otrzymania od cesarza listu żelaznego. Jednak nauki Husa odcisnęły swoje piętno na całej Europie – on również propagował oparcie wiary na samym Piśmie.

Co powinniśmy zrobić?

W tę pięćsetną rocznicę reformacji możemy jedynie się smucić i pokutować. Za grzechy każdego z nas. Możemy przeżyć, co Kościół zrobił nie tak 500 lat temu i uświadomić sobie niszczycielskość pychy po obu stronach konfliktu w roku 1517. W tę tragiczną rocznicę módlmy się o nasz Kościół, aby targany sztormami herezji trwał niewzruszony. Módlmy się za nas samych, aby nasze własne „ja” nie przesłoniło nam Prawdy, której naucza Kościół. Módlmy się za wszystkich heretyków, aby powrócili na łono Matki – Kościoła.

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

piotr.sudol@adeste.eu



źródło: [موجن](#)

Czy Allah to Bóg chrześcijan?

Michał Lewandowicz-Bucholc

Wraz z narastającą liczbą muzułmanów w społeczeństwach europejskich, Europejczycy zaczęli się zastanawiać, kim tak naprawdę są muzułmanie i w kogo oraz co wierzą. Mieszkańców Europy spotkał pewien szok religijny. Stosunek do kobiet regulowany religijnie, specyficzne stroje wynikające bynajmniej tylko z kultury nowych przybyszów. Muzułmanie też inaczej traktują Boga, bowiem odrzucają Trójkę, bóstwo Pana Jezusa i nie wierzą w Ducha Świętego (przy czym, należy zaznaczyć, że w islamie pojawia się koncepcja Ducha Świętego, ale znacznie różniąca się od tej chrześcijańskiej). Muzułmanie są podporządkowani doktrynie „tauhidu”, czyli monoteizmu. Monoteizm muzułmański jest odmienny od chrześcijańskiego. Dla wszystkich muzułmanów stwierdzenie, że Bóg jest jeden w trzech osobach to bluźnierstwo. Bluźnierstwo, za które niejeden konwertyta na chrześcijaństwo oddał życie. Czy więc wierzymy w jednego i tego samego Boga? Jak można pogodzić „tauhid” z faktem, że Bóg jest jeden w trzech osobach?

Problem nie jest łatwy do rozstrzygnięcia. Islam wyrasta z pnia religii abrahamowych. W Koranie czytamy o Adamie, który w ezoterycznych interpretacjach islamu jest bardzo ważną osobą, Mojżeszem, Jezusem, Janem Chrzcicielu, Zahariaszu, Hiobie,

Dawidzie czy Salmonie. Jest też sporo wstawek z ewangelii niekanonicznych, mających gnostyckie pochodzenie i żydowskich sag. Widzimy, więc że islam czerpie garściami z tradycji judeochrześcijańskich. Nie jest też tajemnicą, że Mahomet uważał się za konty-

nuatora religii Abrahama i Jezusa.

Wiele problemów przysparza też słowo „Allah”, które przez ludzi okcydentu jest błędnie uważane za nazwę własną. Natomiast jest ono skróconą wersją wyrazu „al-ilah”, oznacza-

jącego dosłownie „ten bóg” i używanego obecnie tylko w kontekście monoteistycznym. Pojawia się Biblii, modlitwach chrześcijańskich etc. Słowem określającym Boga jest również „rabb”, które mimo podobnego źródłosłowu ma inne znaczenie niż hebrajskie. Po arabsku słowo „rabb” oznacza „pan” w znaczeniu władcy. I znowu, występuje ono zarówno u chrześcijan (np. „Pan z Tobą” w Pozdrowieniu Anielskim to „Ar-rabbu ma’aki”) i u muzułmanów już w drugim wersecie Koranu (1:2). Słowo „Alla” oznacza „Bóg” także w języku maltańskim. Język maltański jeszcze w średniowieczu był jednym z dialektów arabskiego, jednak wskutek latynizacji słowa arabskie zaczęto zastępować romańskimi, niemniej wiele zasad gramatycznych i ok. 1/3 słownictwa są pochodzenia arabskiego.

Biblijny plagiat?

Nie jest także tajemnicą, że w Koranie występuje wiele postaci biblijnych. Są to m.in. Abraham, Salomon czy Jezus Chrystus. Na uwagę zasługuje fakt, że istnieje tutaj pewien synkretyzm. Na przykład tradycja muzułmańska podaje, że prorok Salomon miał kontrolę nad demonami (27:39). Taką samą legendę podaje Józef Flawiusz, a po nim Talmud. Koran utożsamia te demony z dżinami. Przedmuzułmańskie wierzenia Arabii były pełne zaklęć i magii. Przy lekturze Koranu można odnieść wrażenie, że on sam zakazuje tylko „złych” czarów, szkodliwych dla drugiego człowieka. Natomiast w islamie „ludowym” popularne są amulety z wersetami koranicznymi. Islamska gnoza przypisuje 99 imionom Allaha moc magiczną. Widzimy, że islam nie wykorzystał w pełni starożytnych arabskich wierzeń, a nawet je ochoczo zaadoptował. Można nawet powiedzieć, że są one jego nierozłączną częścią. Szatan jest w ezoterycznej i ogólnie literalnej interpretacji Koranu, dżinem. Dżiny były w wierzeniach przedislamskich widoczne wszędzie.

Wierzono, że może zależeć od niego choroba czy talent poety.

Życie pustyni

Mahomet urodził się w 610 r. w zachodniej części Półwyspu Arabskiego. Powiedzieć, że Arabia była wtedy pogańska to zbytnie uproszczenie, bo przekreśliłaby choćby nestorian z Zatoki Perskiej. Na terenie dzisiejszego Bahrajnu istniały trzy nestoriańskie biskupstwa. Lachmidzi zamieszkujący część Mezopotamii i Ghassanidzi z Syrii i Jordanii byli odpowiednio lennikami starożytnego Iranu i Imperium Bizantyjskiego. Ze względu na wątki z ewangelii apokryficznych istnieje też teoria mówiąca, że od jednej z chrześcijańskich sekt pochodzi część Koranu. Są to jednak tylko domysły, na które ze względu na słabą dokumentację z tego rejonu dowodów prawdopodobnie nie będzie. Mahomet ruszył, jako dziecko z karawaną swojego wuja do Syrii. Tam mnich Bahira miał doznać objawienia, jakoby chłopiec był obiecany przez Pismo Święte ostatnim prorokiem. Informację tę znajdujemy w sirze Ibn Ishaka, jednak zważywszy na to, że powstała ona 100 lat po śmierci Mahometa, istnieje ogromna szansa, że to legendarna fabrykacja. Prawdopodobnie Ibn Ishaq chciał w ten sposób przedstawić islam, jako religię abrahamową, kontynuację chrześcijaństwa i judaizmu.

Mieszanka wybuchowa?

Kolejnym elementem synkretycznym jest kult Mekki. Mekka była obiektem kultu przynajmniej kilkaset lat przed Mahometem. W Mekce czczono Hubala (najważniejsze arabskie bóstwo), Wadda, Nasra, Jaghuta i Ja’uk. Oddawano cześć także Allahowi, Bogu najwyższemu. Allah miał przydomek „Ar-rahman”, który został ochoczo wykorzystany przez Mahometa. Obraz miłosierdzia, nawet specyficznie pojmowany, wpasował się w narrację nowej religii. Wiele elementów, jak zamzan (okrażenia wokół

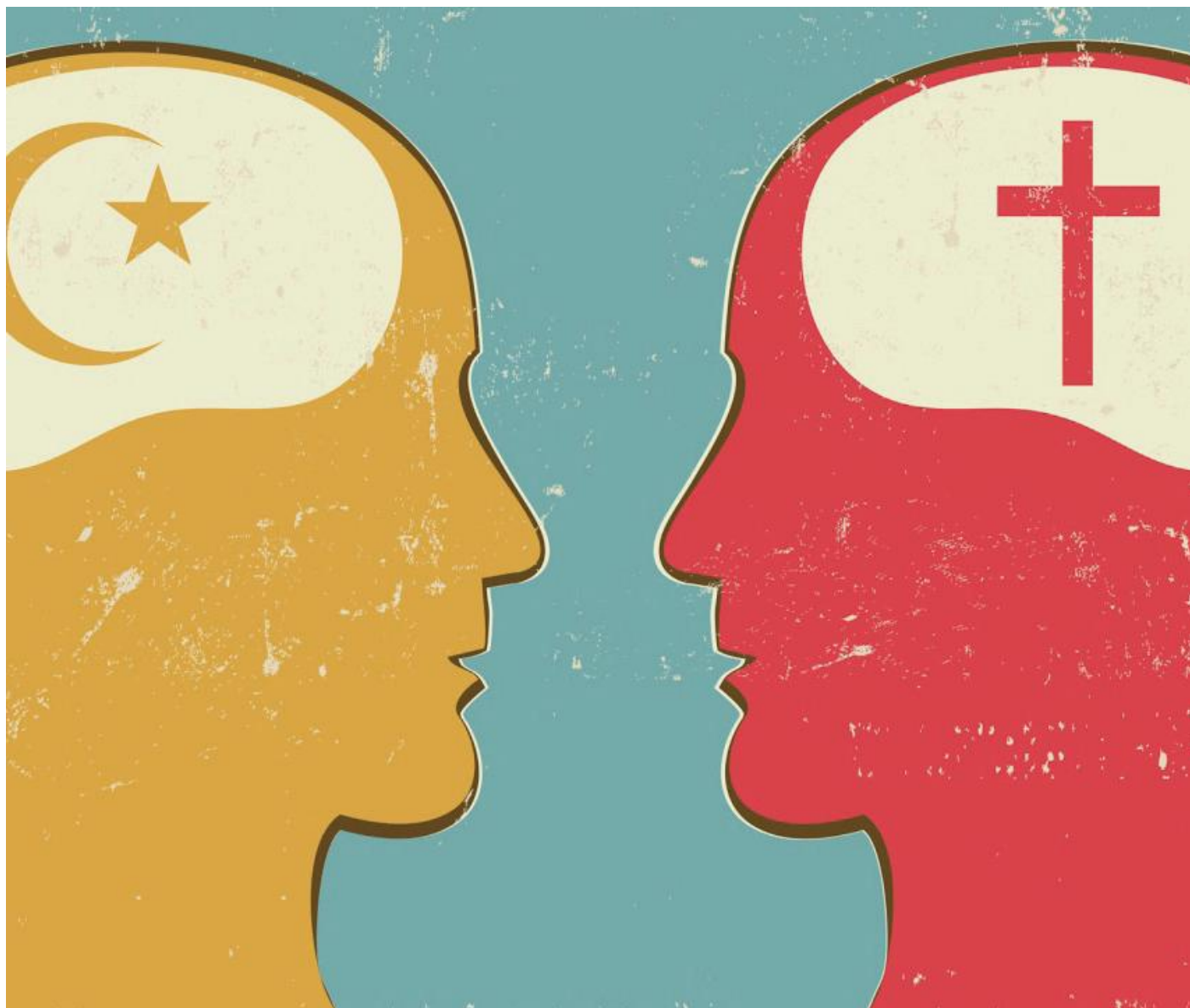
Al-Ka’aby) czy kult czarnego kamienia (Hadżaru) to pozostałości po pogańskich wierzeniach Arabów. Jednak Koran i temu kultowi przyporządkowuje postać biblijną. W wersecie 2:125 możemy przeczytać, że Al-Ka’aba została wybudowana przez Abrahama na polecenie Boga. Oczywiście w Biblii, źródle młodszym i pewniejszym, nie mamy żadnych wzmianek o wędrowcy Abrahama na Półwysep Arabski. Wiemy tylko, że jego syn – Izmael – był protoplastą Arabów.

Jednak koraniczna wersja historii Abrahama ukazuje pewną tendencję: Mahomet starał się uznać za kontynuatora Jezusa, Mojżesza, Abrahama i innych proroków judeochrześcijańskich. Śledząc Koran możemy zobaczyć zmienny stosunek do tzw. „ahl al-kitab”, czyli ludu księgi, do których muzułmanie zaliczyli sabejczyków (lud wymarły w X wieku, do dziś niewiadomo, kim tak naprawdę byli), żydów i chrześcijan. Według wielu teorii rewizjonistycznych Mahomet chciał być prorokiem dla żydów, a potem dla chrześcijan. Świadczyć o tym miałyby, chociaż modlitwa w kierunku Jerozolimy, jak podaje tradycja muzułmańska, do 627 roku.

Czytelnik może się zastanowić, dlaczego opisane zostały tak naprawdę początki islamu i elementy synkretyczne. Otóż są one bardzo ważne dla naszych rozważań. Powyższe przykłady świadczą o tym, że islam czerpie garściami z tradycji judeochrześcijańskich, a nawet jest na nich oparty. Koran nie pozostawia ku temu żadnych wątpliwości. Koran uzurpuje sobie prawo do bycia ostatecznym objawieniem Boga w odróżnieniu od zafałszowanych wcześniej Tory i Ewangelii (2:75, 5:46).

(Nie) nasz Bóg?

Zatem kim jest Bóg muzułmanów? Przypomnieliśmy wyżej fakt, że był czczony w Mekce. Jednak nie może naszej uwa-



dzie umknąć też to, że Mahomet uznaje się za kontynuatora Abrahama. Czy zatem chrześcijanie i muzułmanie wierzą w tego samego Boga? Jeśli przyjrzymy się zachowaniom Boga w Koranie, widzimy sprzeczność między tym, co jest w Ewangelii, a tym, co podaje Koran. Na przykład ewangeliczny Jezus Chrystus nie nakazuje zabijać, a koraniczny potłamić krzyże, zaświadczy, że jest wysłannikiem Boga i wypowie szahadę. Widzimy też zazdrość i niemożność wybaczenia grzechu. W wersecie 4:48 koraniczny Bóg nie wybaczy nikomu, kto jest politeistą. Nawet, jeśli nie zapoznał się z objawieniem. Mahomet dostał od Boga zakaz odwiedzania grobu swoich rodziców z powodu tego, że byli oni politeistami. Widzimy też sprzeczność

między takim zachowaniem koranicznego Boga, a ideą miłości i miłosierdzia głoszoną przez islam.

Czy wierzymy w tego samego Boga? Widzimy sprzeczności między Ewangelią, a Koranem. Widzimy sprzeczność na płaszczyźnie natury Boga. Widzimy wreszcie wpływy pogańskie na islam. Islam jest zatem syntezą. Podobnie Bóg islamu jest synkretycznym bóstwem i najlepiej wyraża naturę islamu: syntezę wierzeń judeochrześcijańskich bez rezygnacji z arabskiego charakteru religii. Zatem nie można odmówić koranicznemu Bogu cech Boga żywego, znanego nam z Ewangelii, lecz jest on na pewno źle pojmowany. Nawet jeśli Mahometowi chodziło o tego samego Boga, co żydom

i chrześcijanom, to widzimy jego pojmowanie i ideę na wskroś pogańską. I to jest tak naprawdę ważne w ocenie islamu, jako religii i musi być wzięte pod uwagę w kształtowaniu stosunków chrześcijańsko – muzułmańskich.

Bibliografia:

1. J. Bielawski, *Klasyczna literatura arabska*, Wydawnictwo Akademickie „Dialog”, Warszawa 2012.
2. M. Dziekan, *Arabia Magica*, Wydawnictwo Akademickie „Dialog”, Warszawa 1993.
3. Koran, tłum. J. Bielawski, PIW, Warszawa 1986

Różaniec – broń przeciw diabłu

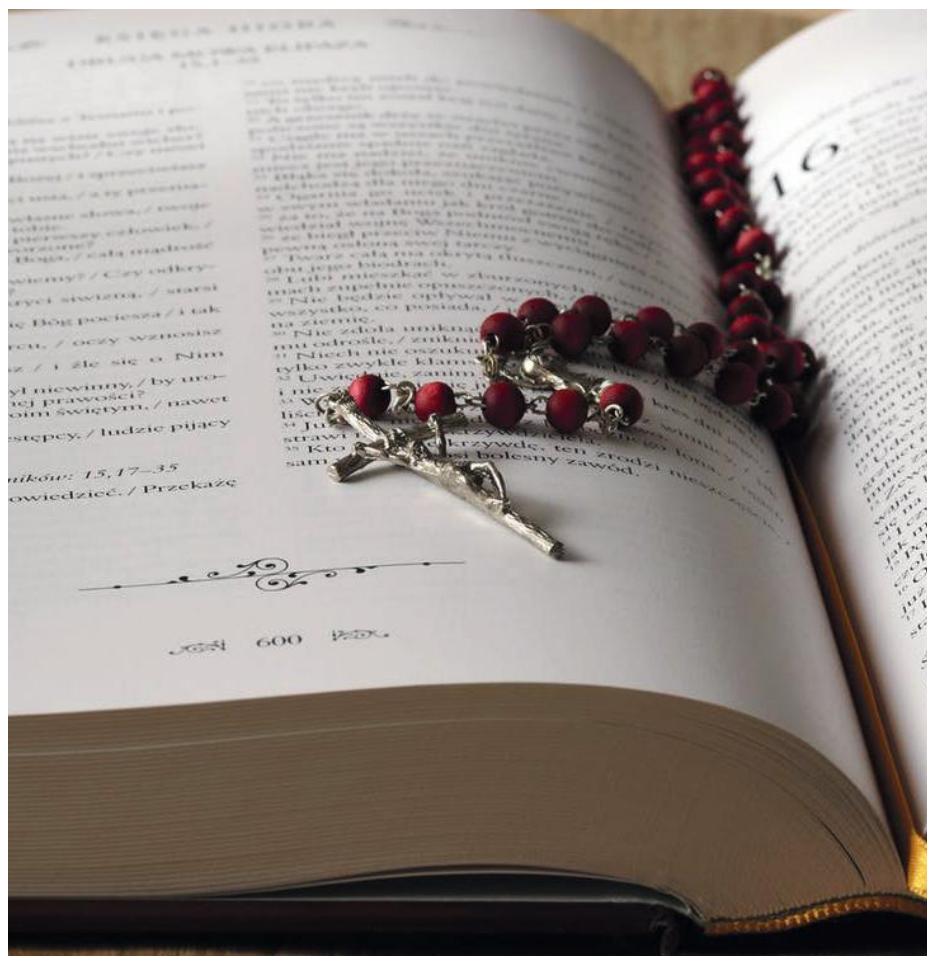


Piotr Ulrich

To zaledwie kilkadziesiąt koralików. Jedni go wyszydają, innych nudzi, dla kolejnych jest niezrozumiałym „klepaniem formułek”, a pozostałym pozwala przylgnąć sercem do Bożych tajemnic. Nie sposób nie domyślić się, że mowa o Różańcu Świętym. Już za kilka dni, 7 października, będziemy w Kościele czcić Matkę Bożą Różańcową, warto więc pochylić się nad tajemnicą, która pomaga tysiącom katolików uświęcać się każdego dnia.

Początki różańca datujemy na XII wiek. W swojej formie wywodzi się on od brewiarza (na który składa się 150 psalmów). Niepiśmienni duchowni zaczęli odmawiać modlitwę składającą się z takiej właśnie liczby powtórzeń „Ave Maria”, dlatego też nazywano ją „Psałterzem Najświętszej Maryi Panny”. W XIV i XV wieku wykształcił się podział różańca na 3 części, zaczęto go łączyć z rozważaniami o życiu Jezusa i Maryi, a także dodawać do kolejnych dziesiątek Modlitwę Pańską. Ogromną rolę w rozpowszechnianiu modlitwy odegrali dominikanie – św. Dominik Guzman, a także św. Jacek Odrowąż (na ziemiach polskich). Legenda głosi, że założycielowi Zakonu Kaznodziejskiego dopiero z pomocą różańca udało się zwalczyć herezję Albigensów.

Na początku XVI wieku określono dokładnie podział na tajemnice radosne, bolesne i chwalebne oraz dodano do różańca początkowe formuły: Skład Apostolski i trzykrotne „Zdrowaś Maryjo”. Zatwierdzenie modlitwy zawdzięczamy papieżowi Piuso-



wi V, który dokonał tego w 1569 roku. Zatwierdził on także konkluzję modlitwy „Ave Maria” przypisywaną św. Bernardowi (Święta Maryjo, Matko Boża...) oraz dodał doksologię kończącą poszczególne części różańca. Nie był on jednak pierwszym Patriarchą Zachodu, który odniósł się do tej modlitwy, ponieważ już 90 lat wcześniej Sykstus IV zalecił codzienne jej odmawianie. Papież Jan Paweł II w roku 2002 dodał czwartą część do różańca – tajemnice światła.

Święto Matki Bożej Różańcowej wyznaczone zostało na 7 października przez Piusa X, ale jego geneza sięga do roku 1571, kiedy to flota katolickiej Europy zwyciężyła bitwę pod Lepanto z liczniejszą armią turecką. Ojciec Święty Pius V jasno stwierdził, że ocalenie kontynentu przed islamizacją zawdzięcza-

my właśnie Maryi Różańcowej.

Walka duchowa

Jako katolicy powinniśmy ciągle mieć świadomość, że nasza ziemską pielgrzymką do wiecznej radości jest nieustanna walka. Święty Paweł w Liście do Efezjan pisze: „Prowadzimy bowiem walkę nie ze zwykłymi ludźmi, lecz mamy stawiać czoło Zwierzchnościom i Władzom, rządcom świata tych ciemności oraz mocom duchowym zła na wyżynach niebieskich” (Ef 6, 12).

Jeśli warunkiem oglądania Boga twarzą w twarz w niebie jest prowadzenie wojny ze złym duchem, to potrzebujemy broni, bo własnymi siłami niczego nie jesteśmy w stanie dokonać. W tym właśnie przychodzi nam z pomocą Różaniec Święty. Już od wieków ludzie dążący do świętości

upatrywali w nim broń duchową. Święty Jan Maria Vianney powiedział kiedyś: „Jedno tylko Zdrowaś Maryjo dobrze powiedziane wstrząsa całym piekłem”. Jeśli bylibyśmy w stanie wyobrazić sobie, jakie szkody wyrządzi diabeł cały różaniec – wypowiedziany w pobożności i pokorze serca – od razu dostrzeglibyśmy, jak wielką moc ma dla nas ta modlitwa. Dlatego też siostra Łucja, która doświadczyła objawień Matki Bożej w Fatimie, twierdziła, że „Różaniec jest najpotężniejszą bronią, jaką możemy bronić się na polu walki”.

Mimo tego, że nie prowadzimy walki ze „zwykłymi ludźmi”, jak mówi Apostoł narodów, to przecież szatan bardzo często próbuje kusić nas, dotykając naszej zwykłej, ludzkiej natury, między innymi naszych zmysłów i myśli. Zazwyczaj walka duchowa dotyczy nie szatana bezpośrednio, a naszej woli. Różańcem więc, niczym powrozem, możemy skrępować pożądania i żądze, trwając pokornie na modlitwie, jak powiedział nasz Pan: „Czuwajcie i módlcie się, abyście nie popadli w pokusę”. Modlitwa różańcowa wymaga od nas czuwania i skupienia na sprawach Bożych, więc idealnie wypełnia prośbę Jezusa Chrystusa. Dzięki niej, oprócz walki, hartujemy swoją wolę i wytrwałość, biorąc przykład z Niepokalanej Maryi.

Naśladowanie Maryi i Jezusa

„Boże, którego Jednorodzony Syn przez swe życie, śmierć i zmartwychwstanie wysłużył nam nagrodę życia wiecznego, spraw, abyśmy rozważając te tajemnice w różańcu Najświętszej Maryi Panny naśladowali to, co one zawierają i osiągnęli to, co obiecują”.

Powyższy tekst to kolekta z dnia 7 października¹. Kościół pragnie przypomnieć nam, że w Chrystusie Panu staliśmy się dziedzicami obietnic, które On wypełnił w swoim życiu. Odnaj-

dziemy je w różańcu, rozważając wydarzenia z życia Jezusa i Maryi. Poprzez trwanie i medytację nad konkretną tajemnicą usposabiamy naszą wolę do przyłgnięcia całą duszą do Bożej Mądrości. Każdą z tych części można przez analogię odnieść do naszego życia wewnętrznego. Wspominając Zwiastowanie Pańskie, możemy prosić Maryję o tak wielką pokorę wobec Bożej woli, jaką ona okazała, gdy archanioł powiedział jej, że zostanie matką Zbawiciela. Gdy rozmyślamy nad tajemnicą śmierci Chrystusa, błagajmy, byśmy umieli umierać codziennie dla naszych grzechów i oddawać swoje życie miłosiernemu Ojcu. Wreszcie, kiedy rozpamiętujemy wniebowzięcie Najświętszej Dziewicy z ciałem i duszą do niebieskich przedsiónek, trwajmy na modlitwie, kierując naszą duszę ku radości wiecznej w Królestwie Bożym. Gdy przejdziemy tak przez wszystkie tajemnice, dostrzeżemy, że odmawianie różańca w skupieniu i rozmodleniu wymaga od nas naśladowania Jezusa i Maryi.

Pan Jezus powiedział: „Kto idzie za Mną, nigdy nie będzie chodził w ciemnościach, lecz będzie miał światło życia” (J 8,12b). Postawa Chrystusa oraz Niepokalanej pozostaje dla nas pewnym wzorcem, idealnym przykładem, który może doprowadzić nas do Zbawienia, a odnajdujemy go właśnie w tajemnicach modlitwy różańcowej.

Modlitwa apologetyczna

Już od początków Kościoła diabeł nastawał na świętą wiarę, próbując podsunąć ludziom błędną naukę. Wspomina o tym m.in. św. Piotr w jednym ze swych listów: „Bądźcie trzeźwi i czuwajcie, bo przeciwnik wasz, diabeł, krąży niby lew ryczący wokół was, wypatrując, kogo by pożreć. Przecistawiajcie się mu waszą silną wiarą” (1P 5,8-9a)

Potrzebujemy modlitwy, którą będziemy mogli umocnić

naszą wiarę i przeciwstawić się herezjom, które sprzeciwiają się doktrynie katolickiej. W różańcu odnajdujemy tę właśnie wartość apologetyczną. Tajemnice, które rozważamy, dotyczą różnych zagadnień doktrynalnych, takich jak wstawiennictwo Maryi, działanie aniołów, Ofiara Krzyżowa i wiele innych. W tej modlitwie ukryte są misteria wiary, którą wyznajemy, chociaż, być może, nie zdajemy sobie z tego sprawy. Dlatego też szatan tak bardzo boi się różańca świętego. Doskonałym dowodem na to są słowa, wypowiedziane przez Matkę Bożą do św. Dominika: „Nikt, kto odmawia codziennie Różaniec, nie popadnie w herezję ani nie zwiedzie go diabeł. To oświadczenie, które chciałbym podpisać moją krwią”.

Wołanie dziecka

Wiele osób zarzuca modlitwie różańcowej zbytnią rozwlekłość w formie i bezsensowność powtarzania wciąż tej samej modlitwy. Ktoś zauważył kiedyś, że pierwszy „różaniec” było to wołanie Dzieciątka Jezus do swojej matki: „mamo, mamo, mamo...”. Przykład ten jest nieco groteskowy, ale niesie za sobą głębsze przesłanie. Różaniec uczy nas wołania do Maryi jako do naszej matki, do której mówimy nieustannie, ponieważ jedno wyznanie nie wystarczy, aby okazać Jej naszą miłość.

Nasza Matka w Fatimie prosiła nas: „Chciałabym (...) abyście każdego dnia odmawiali różaniec”. Odpowiedzmy więc na to wołanie Niepokalanej, niech nasz głos złączy się we wspólnej modlitwie, powtarzając nieustannie: „Święta Maryjo, Matko Boża! Módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen”.

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

piotr.ulrich@adeste.eu

1. Tłumaczenie pochodzi z „Mszału Rzymskiego” wg ojców benedyktynów z Opactwa tynieckiego, Pallotinum 1963.



źródło: Bozon Records

Muzyka – czy i dlaczego warto łączyć ją z religią?

Tomasz „Pielgrzym” Leszczyński

Zacznę od przytoczenia słów jednej z moich ulubionych pieśni autorstwa Jana Kochanowskiego: „Czego chcesz od nas Panie Za Twe hojne dary?”. Muzyka jest niewątpliwie częścią życia każdego człowieka. Jest jednym z darów, które – jak długo wzrastające nasiona – mogą wydać dobre owoce. Muzykę możemy podzielić na różne gatunki – czy to pieśni sakralne, gospel, rap, jazz lub też rock, pop, metal, blues itp. W moim artykule skupię się na zagadnieniu rapu i pieśni sakralnych.

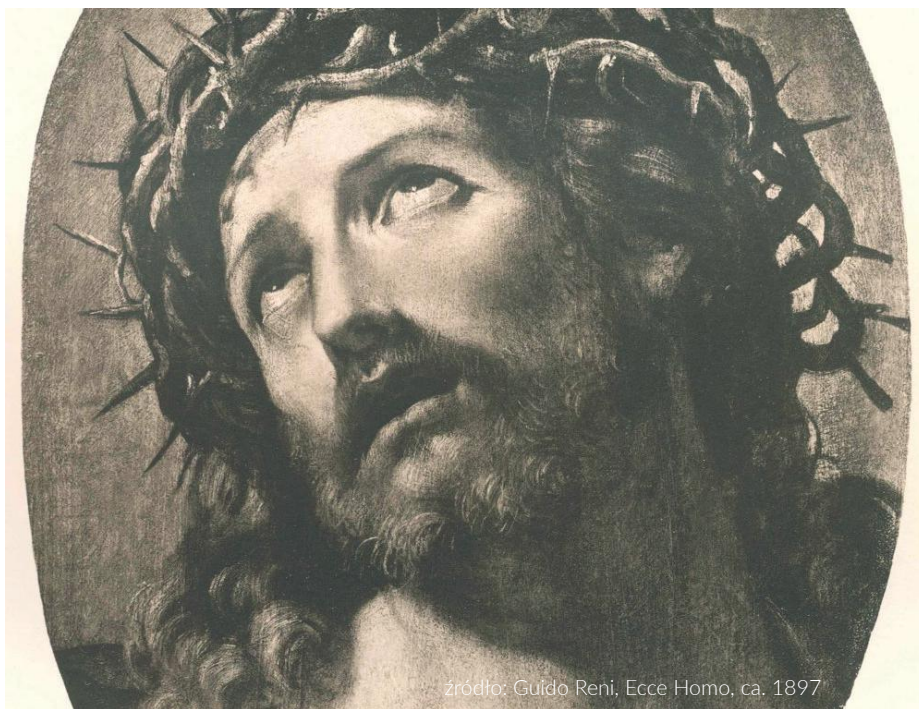
„Ja muszę nieść krzyż”

Pierwszy raz rozplakałem się przy słuchaniu jakiegokolwiek utworu właśnie przy kawałku Krzyż od Tau. W tym momencie wróciło przeświadczenie o mojej grzeszności, czego unikałem jak

ognia. Pękła pewna bariera, której istnienie dopiero wtedy wyszło na wierzch – tłumienie emocji.

Od tamtej pory zacząłem baczenie przyglądać się sferze sacrum i profanum nie tylko u mnie, ale także w muzyce.

Połączenie mistyki z muzyką daje niewyobrażalne efekty, czego przykładem jest chociażby utwór z nowej płyty Tau (ON) o nazwie Do końca świata. Wykonanie jak i ścieżka muzyczna tego kawałka świadczą o tym, jak wielką wiarę w Miłość Jezusa



źródło: Guido Reni, Ecce Homo, ca. 1632

do ludzi posiada artysta. Forma modlitwy wyraża także ogromne przywiązanie do Zbawiciela („Mów do mnie szeptem, szeptem – ja słucham sercem, sercem [...] ja nadal wierzę, wierzę”, „Popatrzę w Ciebie... bo Ty jesteś”). Co istotne – cała płyta ON jest najeżona osobistymi refleksjami na temat duchowości u ludzi na podstawie przeżyć artysty.

„Muszę zdobyć gwałtem Niebo”

Przejdę teraz do analizy jednego z utworów z wymienionego już albumu o tytule Brama. Jest to bardzo emocjonalna piosenka zawierająca nie tylko modlitwę do Boga o wpuszczenie do Raju, ale także refleksję o swojej przeszłości i porady dla słuchaczy. Opiszę tu najciekawszy moim zdaniem fragment tego utworu – refren:

„Chciałbym móc odnaleźć cię zanim cię odnajdzie śmierć, bo byłem kiedyś już na dnie, a On z niego wyciągnął mnie” – bezpośredni zwrot do słuchacza mówiący o tym, że Bóg wyciąga każdego z dna (np. problemów)

„Panie, wpuść mnie, błagam! Niech będzie otwarta brama” – zwrot do Pana Boga, by otworzył bramę Niebios dla duszy artysty po jego śmierci

„Zbudź się, wstawaj i ruszaj ze mną do Królestwa Świątła” – kolejny zwrot do słuchacza, aby szedł za Tau do Nieba.

To tylko pierwsze osiem wersów, a już widać ogromną chęć zjednoczenia z Bogiem i zbawienia dla słuchaczy, co udowadnia połączenie sacrum i profanum (tu nawiązanie do wyjścia z dna). Nakreślę teraz nieco biografię tego rapera. Tau – czyli Piotr Kowalczyk – pochodzi z Kielc, urodzony w 1986 roku. Od samego początku miał problemy w życiu rodzinnym – wedle piosenki Laurka miał dwójkę rodzeństwa, rodzinę utrzymywała matka ze skromnej pensji, pracowała jako bibliotekarka w jednej ze szkół. Dodatkowo w wieku kilku lat był molestowany przez pedofila (na szczęście nie doszło do stosunku – co opisuje w utworze Oko w oko). Na podstawie wcześniejszych albumów artysty (np. Remedium) możemy się dowiedzieć, że zaangażował się w New Age oraz zajmował się okultyzmem i ezoteryzmem. Z takiego dna wyciągnął go Bóg. Za to pragnie mu podziękować przez swoją muzykę i upomnieć innych, aby nie szli tą drogą. Polecam także przesłuchać album Restaurator (jest dostępny na kanale Bozon Re-

cords). Osobiście wpłynęła ona na moje nawrócenie.

„Przyjdź i zajmij miejsce swe”

Na chwilę zmienię gatunek muzyczny. Jako instrumentalista Diakonii Muzycznej przy Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży często grywam na Mszach Świętych lub różnych nabożeństwach. Często, poznając nowe piosenki, stawiam przed sobą pytania: czego one dotyczą? Jak bardzo mogę się zjednać z Bogiem, modląc się i śpiewając tę pieśń? W tytule akapitu zamieściłem jedną z moich ulubionych oazowych piosenek: „Przyjdź i zajmij miejsce swe na tronie naszych serc. Ciebie pragnie dusza moja, w suchej ziemi pragnę Cię”. Mówi ona (jak można samemu zauważyć) o potrzebie bliskości Boga. Bezpośredni zwrot do Niego czyni z niej formę modlitwy. Bóg jest Miłosierdziem, bez którego usychamy (jak kwiat w suchej ziemi – pragniemy Go jak tenże kwiat wody). „Przyjdź i zajmij miejsce swe” jest prośbą do Boga, by zstąpił do naszych serc i tam zajął należne sobie miejsce.

Podjmij wyzwanie

A teraz... mam dla Ciebie wyzwanie, Drogi Czytelniku/ Droga Czytelniczko – włącz sobie tę piosenkę, a także wszystkie, które podałem wyżej. Wsłuchaj się w nie i poproś Ducha Świętego, by zstąpił i Tobie pomógł. Pomógł zrozumieć jak bardzo jest On Tobie potrzebny w życiu. Życzę Ci Ducha Świętego i Jego darów, abyś otworzył się na chrześcijański rap, bo nie jest on tak straszny, jak może się wydawać z perspektywy innych artystów.

Pax!

Zainteresował Cię mój artykuł? Masz jakieś pytania? Napisz do mnie na:

tomasz.leszczynski@adeste.eu

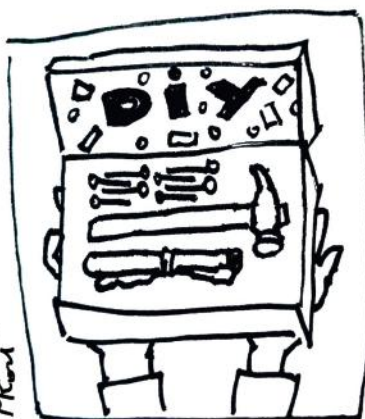
WITTENBERGA
BOŻE NARODZENIE
1516



MARCIN, OTWIERAJĄC
PREZENT OD MIKOŁAJA,
NIE BYŁ ŚWIADOM...



JAK WIELE ZA ROK
BĘDĄ MÓWIĆ O JEGO
MAJSTERKOWANIU



MEMYTUTAJ.PL

